ŁOWIEC POLSKI



51-Y ROK
WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 1/2 (962/963) STYCZEŃ – LUTY 1949 R. CENA 120 ZŁ

MYŚLIWSKIE KONKURSY FOTOGRAFICZNE

Dla ożywienia i zaktualizowania strony ilustracyjnej „Łowca Polskiego“ Redakcja ogłosiła w zeszycie grudniowym r. ub. Myśliwski Konkurs Fotograficzny specjalnie dla fotografów-amatorów z terminem nadsyłania zdjęć konkursowych do końca marca rb.

Z uwagi jednak na to, że w czasach dzisiejszych tylko niewielka ilość myśliwych posiada należyty sprzęt fotograficzny, Redakcja postanowiła sięgnąć do źródła fotografiki zawodowej i w tym celu ogłasza

Drugi Konkurs Fotograficzny na tematy łowieckie specjalnie dla fotografów zawodowych

Warunki obu konkursów są jednakowe. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej, sceny z polowań, charakterystyczne krajobrazy terenów łowieckich, psy myśliwskie w pracy, ciekawe pokoty i trofea myśliwskie. Zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym niż 9 x 12 cm., z napisem na odwrocie treści zdjęcia, względnie miejsca i czasu wykonania.

Fotografie powinny być nadsyłane seriami, zawierającemi najmniej 5 zdjęć (dla amatorów dopuszczalne jest nadsyłanie i pojedyńczych zdjęć) i oznaczone godłem. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I-ą wyznaczamy dla serji, zawierającej najmniej 5 zdjęć,—20 tys. zł. (dla pojedyńczych fotografij amatorów—5 tys. zł.), jako nagrodę II-ą — 12 tys. zł. (dla pojedyńczych fotografij amatorów — 3 tys. zł.), jako nagrodę III-ą — 8 tys. zł. (dla pojedyńczych fotografij amatorów — 2 tys. zł.).

Termin nadsyłania fotografij na konkurs upływa: dla amatorów—z dn. 1 kwietnia r. b., dla fotografów zawodowych — z dn. 1 maja r. b. Sąd konkursowy stanowić będzie Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego“.

REDAKCJA

Przypomnienie dla kolegów piszących

W zeszycie grudniowym 1948 r. zamieściliśmy odezwę do kolegów, zasilających „Łowiec Polski“ swemi pracami. Odsyłając do niej osoby, pragnące zamieścić w naszym piśmie prace fachowe czy beletrystyczne, chcemy tu przypomnieć warunki natury technicznej, którym powinny one odpowiadać.

A więc, żaden artykuł **nie może przekraczać 4-ch stron druku** (8 stron maszynopisu o 30 wierszach i 50 znakach pisarskich w wierszu. Nadsyłane prace powinny być **pisane na maszynie,** po **jednej stroniei z interliniami,** t. j. z odstępem pomiędzy wierszami, umożliwiającymi wprowadzenie poprawek redakcyjnych, oraz **z marginesem** z boku do uwag dla drukarni.

Prace nie odpowiadające tym warunkom nie będą drukowane, a zwracane tylko na wyraźne żądanie za zwrotem kosztów przesyłki.

Za artykuły umieszczone Redakcja uiszcza honorarium w wysokości 1 000 zł. za stronę, względnie po 10 zł. za wiersz jednołamowy, nie więcej jednak jak za 4 strony, czyli 4 tys. zł.

Korespondencje, sprawozdania, wzmianki itp. nie są opłacane.

REDAKCJA

Nasza okładka: „Witamy Nowy Rok“ — rys. S. Rozwadowski

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 1/2 (962/963) 1 9 4 9 STYCZEŃ — LUTY

418799 — III
1949



Akt pierwszy — jakże często najmilszy... *fot. W. Puchalski*

Biblioteka Jagiellońska
1002276742

ZBIGNIEW KOWALSKI

NA PROGU ROKU 1949

Minął rok 1948. Rok coraz wyraźniej zarysowujących się na świecie przemian społecznych i rok wzrastającego tempa marszu ku socjalizmowi. Rok, który dla naszego Narodu i Państwa stał się rokiem ostatecznego okrzepnięcia władzy ludowej, zapoczątkowaniem na wielką skalę wyścigu pracy, wzmagającej się odbudowy zniszczonego przez barbarzyńskiego okupanta kraju oraz historycznego złączenia bratnich partii robotniczych P. P. R. i P. P. S.

Również i na naszym skromnym odcinku łowieckim rok 1948, rok jubileuszowy 25-cio lecia istnienia Polskiego Związku Łowieckiego, był rokiem ważkim i rokiem przełomowym. Stał się on jednocześnie rokiem ostatecznego zakończenia 3 letniej żmudnej pracy organizacyjnej zarówno Oddziałów, jak i Centrali.

Nie od rzeczy więc będzie na zakończenie ubiegłego roku zrobić krótki bilans dotychczasowych osiągnięć Polskiego Związku Łowieckiego za okres od pierwszego po wojnie Walnego Zgromadzenia w dniu 3.XI.1945 r. do końca 1948 roku.

Przede wszystkim więc musimy stwierdzić, że Polski Związek Łowiecki rozbudował się w ostatnim trzechleciu ogromnie, osiągając cyfrę 33.000 zrzeszonych w naszej organizacji członków. 33.000 członków na koniec roku 1948 wobec 11.000 w roku 1939 i 13.000 w roku 1945.

Najważniejszym i zasadniczym jednak momentem jest nie liczba zrzeszonych dzisiaj w Polskim Związku Łowieckim myśliwych, ale to, że zgromadziliśmy w naszych szeregach towarzyszy łowów ze wszystkich warstw społecz-

Bibl. Jagiell.
1965 C D 707

nych, że wciągnęliśmy do kadr prawidłowych i prawych myśliwych tych, dla których łowiectwo było dawniej owocem zakazanym, bądź nieosiągalnym, lub którzy wykonywali je nieprawidłowo ze szkodą dla interesów gospodarczych państwa.

Tę zasadę powszechności chcemy zrealizować do końca i bez żadnych kompromisów. Nie grupa ludzi uprzywilejowanych stanowiskiem czy pieniędzmi, ale wszyscy bez wyjątku myśliwi muszą się znaleźć w szeregach Polskiego Związku Łowieckiego, jako myśliwi pełnoprawni i pełnowartościowi.

W kołach łowieckich samorządowców, kolejarzy, milicyjnych, magistrackich, gminnych, leśników, skarbowców, Samopomocy Chłopskiej, sztabu generalnego, fabryki starachowickiej i tysiącu innych, polują wspólnie robotnicy i generałowie, ministrowie i urzędnicy, chłopi i wolne zawody, rzemieślnicy i leśnicy.

Równocześnie ze wzrostem liczby członków Związek nasz przystąpił do podniesienia poziomu zrzeszonych myśliwych.

Kandydaci do Polskiego Związku Łowieckiego poddawani są obecnie egzaminowi, którego wynik pozytywny pozwala mniemać, iż nowi koledzy z jednej strony posiadają już odpowiednią znajomość zasad prawidłowego łowiectwa i myślistwa, a z drugiej strony potrafią się właściwie obchodzić z bronią palną i używać jej zgodnie z zasadami bezpieczeństwa na polowaniu.

Urządzane w terenie liczne zjazdy myśliwskie, wyświetlanie filmów łowieckich (przy których realizacji współdziałał Polski Związek Łowiecki), referaty i odczyty — pogłębiają wiedzę fachową i wyrobienie członków Polskiego Związku Łowieckiego. Ten cykl wychowawczy narybku myśliwskiego zamyka literatura łowiecka, która co roku zasilana jest nowymi wydawnictwami oraz „Łowiec Polski", który jako organ oficjalny, dociera do rąk każdego myśliwego w Polsce.

„Łowiec Polski", którego wydawanie wznowiono po 6 latach przerwy, początkowo jako biuletynu odbijanego w paruset egzemplarzach na powielaczu, a następnie jako miesięcznika w ilości 3.000 egzemplarzy (marzec 1946 r.), osiągnął w roku 1947 nakład 25.000 egzemplarzy, a na 31 grudnia 1948 roku już 33.000 egzemplarzy.

Poziom „Łowca Polskiego", zarówno pod względem szaty zewnętrznej i ilustracji, jak również treści artykułów tak fachowych jak i beletrystycznych, wzrasta stale, osiągając poziom bardzo wysoki.

Prześcignęliśmy o dwie długości podobne wydawnictwa łowieckie zagraniczne, a to zarówno organ czechosłowackiego Związku Myśliwych „Straż Myslivosti", jak węgierski „Magyar Vadäsz", jak jugosłowiański „Łowec", bułgarski „Łow i Rybarstwo", francuski „Le Saint Hubert", a nawet wydawane niepomiernie luksusowo i z barwnymi ilustracjami „The American Rifleman" czy „Hunting and Fishing in Canada" zapełnione samemi ogłoszeniami.

Akcja wydawnicza prowadzona była przez Komisję Wydawniczą Polskiego Związku Łowieckiego w ciągu trzylecia stale i planowo. W trosce przede wszystkim o wyrobienie i podciągnięcie kadr młodych myśliwych został wydany szereg prac o charakterze popularno szkoleniowym, jak Prof. Józefa Gieysztora „Podstawy Łowiectwa" (2 wydanie), Zbigniewa Kowalskiego „Obchodzenie się z bronią i bezpieczeństwo na polowaniu", Mieczysława Mniszek Tchórznickiego „Etyka Łowiecka", Tadeusza Śliwińskiego „Życie jelenia".

Wydano też szereg broszur o charakterze propagującym ochronę łowiectwa, jak Mieczysława Mniszek Tchórznickiego „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną". Ta ostatnia broszura dostarczona została bezpłatnie do wszystkich szkół powszechnych.

Za pośrednictwem Spółdzielni „Jedność Łowiecka" wydano również „Kalendarz Myśliwski na rok 1948", jako vade mecum dla myśliwego.

Prace zewnętrzne Rady Naczelnej i Komitetu Wykonawczego, zapoczątkowane w roku 1945 uzyskaniem rozkazów Marszałka Polski Michała Żymierskiego, Ministra Bezpieczeństwa Publicznego Radkiewcza i Komendanta Milicji Obywatelskiej Generała Witolda, o ochronie ginących zwierzostanów, rozrosły się dzisiaj do opracowywania projektów nowej ustawy łowieckiej, corocznych czasów ochronnych, zastępczych kart łowieckich, wysokości podatku od prawa polowania, norm eksportowych, podatku od psów i wielu innych zagadnień o skali państwowej. W ten sposób w ciągu trzech ostatnich lat Polski Związek Łowiecki stał się społecznym organem opiniodawczym i w pewnym stopniu samorządem gospodarczym na odcinku łowiectwa.

W tym miejscu należy specjalnie podnieść, że zainteresowanie się i podejście do łowiectwa naszych władz państwowych jest wybitnie przychylne i pełne zrozumienia dla potrzeb tej ga-

łęzi gospodarki narodowej. Najbardziej widomym zresztą znakiem tego jaknajbardziej pozytywnego ustosunkowania się do poczynań i prac Związku władz zwierzchnich Rzeczypospolitej było przyjęcie przez Ministra Obrony Narodowej Marszałka Polski Michała Żymierskiego — wysokiego protektoratu nad Polskim Związkiem Łowieckim.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i Administracji Publicznej oraz Komenda Główna Milicji Obywatelskiej idą również stale na rękę naszym poczynaniom zarówno w dziedzinie zarządzeń organizacyjnych, jak i zwalczania kłusownictwa.

Ministerstwo Leśnictwa, uznane w roku 1947 przez Radę Ministrów jako Ministerstwo resortowe dla spraw łowieckich, powołało w Departamencie Produkcji Niedrzewnej i Łowiectwa (Dyrektor Inż. Kazimierz Pasternak) specjalny Wydział Łowiectwa (Naczelnik kol. Mieczysław Mniszek Tchorznicki), który stanowi ześrodkowaną w jednym ręku władzę imperjalną i dominialną dla spraw łowieckich w Państwie.

Podkreślić w tym miejscu muszę, że raz pierwszy w historii łowiectwa polskiego uzyskaliśmy u resortowego Ministerstwa posłuch i pełne zrozumienie dla spraw łowiectwa i Związku. Ponadto potrafiliśmy przekonać ogół społeczeństwa naszymi czynami i osiągnięciami, że łowiectwo to nie jest bynajmniej zabawka możnych i zabijanie czasu przez bogatych nierobów, ale poważna gałąź gospodarki narodowej i słoneczne wczasy w lasach, na wodach i polach dla ludzi pracy po znojnym tygodniu.

Przechodząc z kolei do prac organizacyjnych Polskiego Związku Łowieckiego musimy stwierdzić, że w dniu dzisiejszym cała Polska pokryta jest siecią terenowych komórek organizacyjnych. Przy Radach Wojewódzkich zostały zorganizowane biura, pracujące normalnie z odpowiednią ilością płatnych sił biurowych. Wszystkie powiaty w Rzeczypospolitej obsadzone są przez Łowczych Powiatowych, poważna część gmin przez Podłowczych.

Niemałą była praca obsadzenia Oddziałami Związku specjalnie Ziem Odzyskanych, gdzie brak było początkowo w roku 1945 i ludzi i środków.

W każdym razie do pierwszych nieśmiałych prób zorganizowania pierwszej Rady Łowieckiej w Jeleniej Górze, liczącej w początku roku 1946 14 członków, do pawilonu łowieckiego na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu w 1948 r., który zwiedziło setki tysięcy osób, krok naprzód jest ogromny. Krok stanowiący charakterystyczny i wiele mówiący wycinek całości naszego życia społecznego i gospodarczego, które przez przeciąg trzech ostatnich lat przeszło drogę w kierunku odbudowy wprost niewiarygodną.

W roku 1946 przez grono kolegów, grupujących się w Radzie Naczelnej, zostało rzucone kilka myśli, które w następnych trzech latach zrealizowano z niespodziewanie dodatnim rezultatem.

Pierwszą z nich było wystąpienie do Urzędu Reparacyjnego o zwrot skonfiskowanej i wywiezionej przez okupanta broni myśliwskiej i amunicji. Zdawało się, że krótkie pismo złożone w małym pokoiku na Pradze, gdzie mieścił się wówczas ten Urząd, będzie tylko spełnieniem obowiązku — tymczasem w dwa lata później w pięknym gmachu C. U. P.u na Senackiej został zadecydowany przydział dla myśliwych polskich poprzez Spółdzielnię „Jedność Łowiecka“ 5 000 rewindykowanych strzelb i to strzelb nowych, przeważnie Sauerów, Simsonów i Greifeldów po cenach wybitnie niskich oraz kilka milionów naboi dymnych, wyprodukowanych przez fabryki niemieckie.

Wspomniałem o „Jedności Łowieckiej“. Pozwolę sobie w tym miejscu wrócić znów do roku 1946, kiedy, wespół z VPrezesem Polskiego Związku Łowieckiego kol. Józefem Skrzypkiem, składaliśmy w odbudowywanym dopiero gmachu na Wawelskiej pierwszą wizytę pierwszemu Ministrowi Leśnictwa Ob. Stanisławowi Tkaczowowi. Kiedy wychodziliśmy już (z wielką ostrożnością na wąskie schody bez poręczy) Minister zapytał nas, jak wygląda zaopatrzenie myśliwych w amunicję myśliwską. Odpowiedź nasza była zdecydowanie negatywna.

Wówczas Minister Tkaczow rzekł krótko:

— Zorganizujcie Spółdzielnię myśliwską.

No i zorganizowaliśmy „Jedność Łowiecką“. Dziś jest to instytucja duża i mocna, posiadająca 14 Oddziałów, robiąca blisko 250.000.000 zł. obrotu rocznie, a ostatnio — dobrze zorganizowanym eksportem zwierzyny dająca Państwu poważną kwotę dewiz.

Strzelectwo myśliwskie, w którym Polska dzierżyła prym na standach światowych, zdobywając wielokrotne mistrzostwa świata i medale olimpijskie (Józef Kiszkurno), odrodziło się w roku 1948.

Dzięki poparciu Głównego Urzędu Kultury Fizycznej zapoczątkowano zawodami strzeleckimi z myśliwymi Armii Czerwonej w Legnicy

oraz międzynarodowym spotkaniem w strzelaniu do rzutków z ekipą czechosłowacką we Wrocławiu, szereg zawodów strzeleckich w całym kraju w skali zarówno wojewódzkiej jak i powiatowej. Odbudowano też standy na Szczęśliwicach w Warszawie, we Wrocławiu, Łodzi i innych miastach.

Wyniki strzeleckie naszej ekipy reprezentacyjnej, pomimo skromnych i krótkich treningów, osiągnięte w zawodach z Czechosłowacją (powyżej 90 trafnych na 100 możliwych, a nawet 95 na 100 przez Wilhelma Ziegienhierte) pozwalają sądzić, że już w roku 1949 uzyskane przez naszych kolegów wyniki mogą się stać groźne dla strzelców światowych tej miary co Rosjanie, Norwegowie i Anglicy.

Zawody w strzelaniu do rzutków przyczyniły się też do polepszenia jakości śrutowych naboi myśliwskich. Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach przez swych obserwatorów pilnie baczyła na standach na działanie i jakość wytwarzanych przez nich ładunków myśliwskich. Późniejsze wspólne kilkakrotne konferencje przedstawicieli naszej Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego z Dyrekcją techniczną fabryki spowodowały wypośrodkowanie odpowiednich wag prochu i śrutu, co polepszyło jakość ładunków tak poważnie, iż w czasie trwania zawodów we Wrocławiu Czesi przeszli na strzelanie z ładunków elaboracji pionkowskiej.

W tym miejscu pragnę jeszcze zaznaczyć, że nie udało nam się niestety, pomimo kilkakrotnych interwencji w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, spowodować obniżenia ceny zbyt drogich dla człowieka pracy naboi bezdymnych. Interwencja Polskiego Związku Łowieckiego wywarła o tyle tylko dodatni skutek, że cena naboi nie została podniesiona, co było już w Ministerstwie zdecydowane.

Ruszyła też z martwego punktu hodowla psa myśliwskiego, przejęta w 1948 r. w części przez zorganizowany przy Polskim Związku Łowieckim — Związek Kynologiczny w Polsce. Konkursy i wystawy psów, urządzane dotychczas w ramach powiatów czy województw, zorganizowane zostały po raz pierwszy w ramach ogólno krajowych. Wystawa ta i konkursy urządzone we wrześniu we Wrocławiu napawają nas otuchą, że posiadany materiał będzie punktem wyjściowym do odrodzenia hodowli psa myśliwskiego w Polsce. Szereg sprowadzonych z zagranicy reproduktorów (Szwecja) oraz otwarcie kilku stacji treningowo hodowlanych (Hubertówka, Kutno, Goraj) zdają się ten optymizm potwierdzać.

Chcę również zaznaczyć, że nie brakło też nigdy Polskiego Związku Łowieckiego w różnorodnych pracach społecznych, jak w odgruzowaniu Warszawy czy akcji pomocy zimowej (sam oddział Częstochowa dał, jako dochód z imprezy łowieckiej na ten cel — 100.000 zł.), czy w wystawach regionalnych lub szeregu innych imprez.

Finanse Polskiego Związku Łowieckiego stoją teraz na mocnych podstawach, bilans jest zrównoważony, oszczędności są znaczne, ogólna suma wpływów i wydatków równoważy się w roku 1948 sumą ca. 30.000.000.— zł.

Biblioteka Polskiego Związku Łowieckiego, zapoczątkowana w 1945 r. 7 (wyraźnie siedmioma) książkami, posiada obecnie powyżej 300 tomów i jest chyba jedyną biblioteką łowiecką w kraju. Kierownikiem biblioteki i czytelni Polskiego Związku Łowieckiego jest znany bibliofil Kpt. Józef Kobylański.

Poważnym osiągnięciem było też odbudowanie przez Komitet Wykonawczy siedziby Polskiego Związku Łowieckiego. Z drobnych składek wszystkich polskich myśliwych (100 zł.) powstała na gruzach dawnego lokalu przy ul. Nowy Świat 35 w Warszawie nowa siedziba z salą zebrań, świetlicą, czytelnią i częścią biurową. Wierzę głęboko, że siedziba ta stanie się nie tylko miejscem zebrań i urzędowania, ale i domem Polskiego Łowiectwa, z którego promieniować będzie na cały kraj myśl, wiedza i kultura łowiecka.

Na zakończenie tego krótkiego bilansu naszej pracy pozwolę sobie zaryzykować twierdzenie, że choć ugorów na niwie łowieckiej jest jeszcze w tej chwili bardzo dużo, choć specyficzne kłusownictwo występuje jeszcze miejscami— dzięki konsekwentnej i nieustępliwej pracy Polskiego Związku Łowieckiego już od pierwszych chwil odzyskania niepodległości, zachowaliśmy resztki tak zniszczonego przez barbarzyńskich hitlerowców zwierzostanu krajowego, podnieśliśmy już pogłowie zwierzyny w tej chwili tak znacznie, że mamy wszelkie szanse być i nadal przodującym w łowiectwie krajem na świecie.

Musimy sobie bowiem powiedzieć wyraźnie, że sytuacja na tym odcinku była w roku 1945 i 1946 naprawdę groźna. Długoletnia okupacja, działania wojenne, przemarsze wojsk i niepamiętnie srogie zimy dokonały okrutnego dzieła zagłady, które niestety prowadzone było dalej. Pomimo zakończenia wojny, człowiek sam z nie-

zrozumiałą krótkowzrocznością, własnymi rękoma, dobrowolnie i lekkomyślnie, jakby obarczony przekleństwem, niszczył faunę ojczystą. Posępny pochód ginących gatunków, który po pierwszej wojnie światowej otworzył żubr, kontynuował teraz łoś i niedźwiedź.

I dziś, kiedy czytamy, że odnajdywanie wielorybów ma się odbywać przy pomocy radaru, kiedy już krok tylko dzieli nas od zastąpienia tymże radarem starego Niemcunowicza, tropiącego w Białowieży po ponowie dziki, czy wyżła, wystawiającego stado kuropatw w spłachetku kartofli, dziś kiedy wiemy, że automat o setce kul w magazynku czy luneta na karabinie wyborowego strzelca stały się bronią powszechną — należy się bardzo głęboko zastanowić nad sposobami obrony, ochrony, hodowli i przywrócenia zachwianej równowagi w przyrodzie celem zachowania naszej fauny łownej dla przyszłych pokoleń.

Jestem przekonany, że gdyby Polski Związek Łowiecki nie zaczął bić na alarm już w listopadzie 1944 roku — nietylko głuszec, bóbr, jeleń, ryś, daniel i sarna przeszłyby do kategorii zwierząt nie istniejących już na naszych ziemiach w stanie wolnym, ale zająca, kuropatwę i kaczkę musiałaby zamiast „Dal - Społem" do eksportu, przejąć Rada Ochrony Przyrody dla zachowania przy życiu ostatnich egzemplarzy.

Dziś, stojąc na progu roku 1949, wierzymy jednak głęboko, że zło minęło już bezpowrotnie i że łowiectwo polskie czeka piękna i pełna wielkich osiągnięć przyszłość.

Żywimy też najgłębsze przeświadczenie, że pod wysokim Protektoratem Marszałka Polski Michała Żymierskiego, oraz pełną przychylności dla naszej pracy opieką naszego resortowego Ministra, Bolesława Podedwornego, Polski Związek Łowiecki zwielokrotni swe ideowe posłannictwo dla dobra i rozwoju łowiectwa, dokładając tym samym ważką cegiełkę do odbudowy całości naszego życia gospodarczego i kulturalnego.

Z. Kowalski



Po skończonym miocie *fot. Z. Kowalski*

LEON POPŁAWSKI

JEDYNA DROGA

Żyjemy w epoce planowania. Wszelkie dziedziny gospodarki narodowej regulowane są drogą opracowania planów, które określają w sposób coraz to bardziej ścisły i dokładny produkcję, dystrybucję, spożycie i eksport. Z dziedziny gospodarczej planowanie przeniosło się na inne, ogarniając coraz to wszechstronniej całokształt sfery działania człowieka. Plan — szczególnie wieloletni — określa postulat, zamierzenia, wskazuje drogi i sposób ich realizacji. Planowanie jest wytworem aktywnej myśli człowieka, świadomego swych celów, jest zaprzeczeniem tradycjonalizmu, leseferyzmu, polegającego co najwyżej na obserwacji zjawisk i spóźnionej najczęściej reakcji w postaci nakazów i zakazów władzy państwowej.

Jedynym chyba wyjątkiem w zakresie gospodarki narodowej, gdzie o planowaniu głucho, jest łowiectwo. Mimo poważne jego znaczenie w bilansie żywnościowym, surowcowym i eksportowym kraju, nie możemy właściwie mówić o planowej gospodarce w tej dziedzinie. Planowanie bowiem musi i tutaj obejmować — mutatis mutandis — cały cykl rozwoju, cały cykl produkcji. Tymczasem planowanie w zakresie łowiectwa sprowadza się właściwie do planowania eksportu dziczyzny. Poza tym Państwo ogranicza się do pośredniego regulowania produkcji b i t e j zwierzyny drogą udzielania zezwoleń na wykonywanie prawa polowania oraz wydawania zakazów w postaci czasów ochronnych, tzn. właściwie pośrednio reguluje w ten sposób dystrybucję a nie samą produkcję, wpływa na określenie tej ilości zwierzyny, która w stanie bitym znajdzie się na rynku krajowym czy też w chłodniach eksportowych. Reszta — a w pierwszym rzędzie właściwa p r o d u k c j a zwierzyny — zdana jest na los... sprzyjających warunków atmosferycznych.

Mówiąc o produkcji zwierzyny, to jest o jej hodowli, mamy na myśli przede wszystkim zwierzynę drobną, a więc zająca, bażanta i kuropatwę, i do nich odnosić się będą nasze rozważania. W warunkach nowoczesnego rolnictwa i leśnictwa zwierzyna czarna i płowa (z wyjątkiem może sarny) będzie zawsze musiała być traktowana przede wszystkim jako szkodnik, tolerowany w granicach konieczności ochrony krajobrazu i przyrody. O właściwej, masowej hodowli nie może tu być mowy, właśnie ze względów ekonomicznych, które to jednak względy tak silnie przemawiają za wzmożeniem hodowli drobnej kulturalnej zwierzyny. Inne gatunki krajowej zwierzyny nie wchodzą też w grę, bądź to z uwagi na trudności związane z ich hodowlą, jak np. głuszec, cietrzew, jarząbek itp., bądź też z uwagi na ich swoiste właściwości, dopuszczające hodowanie ich jedynie w ograniczonej ilości (drapieżniki, tzw. zwierzyna sanitarna).

Łowiectwu, tak jak i innym dziedzinom gospodarki narodowej, wojna przyniosła poważny uszczerbek. Ogólne rozprzężenie i demoralizacja, obfitość broni w niepowołanych rękach, drożyzna i brak żywności, wszystko to sprzyjało rozpowszechnieniu się kłusownictwa, wnykarstwa i sidlarstwa. Równie ważne są jednak niepomyślne zmiany, jakie na odcinku hodowli drobnej kulturalnej zwierzyny spowodowane zostały przewrotem, jaki powstał w dziedzinie stosunków agrarnych na wsi.

W warunkach przedwojennych hodowla drobnej zwierzyny koncentrowała się w lwiej części w majątkach prywatnych. Myślistwo było, jest i będzie sportem kosztownym. Łowiectwo wymaga poważnych nieraz nakładów, aby móc dawać dochody, szczególnie jeżeli będzie ono traktowane w oderwaniu od rolnictwa czy leśnictwa, a nie jako uboczna, choć wcale ważną gałąź ich produkcji. Posiadanie własnego łowiska było nieocenionym atutem, ułatwiającym zaspokojenie tak powszechnej u nas żyłki łowieckiej, zmniejszającym w sposób wybitny jego koszty. Gajowy czy polowy był jednocześnie strażnikiem łowieckim, pilnujący nie tylko własnego łowiska, ale i dodzierżawianych terenów sąsiednich. Kwestia zimowego dokarmiania zwierzyny, przygotowania paśników, czasowych remiz poplonowych itd., nie grały większej roli, nie wymagały zwłaszcza większych wydatków gotówkowych, można było to wszystko zrobić tanio, sposobem gospodarczym W rezultacie sieć prywatnych łowisk, otoczonych najczęściej dodzierżawionymi gruntami wiejskimi, tworzyła w terenie liczne punkty rozmnoży drobnej zwierzyny, skąd promieniowała ona na zewnątrz. Każdy myśliwy, polujący przed wojną w kółkach myśliwskich, pamięta dobrze, jak bardzo ubiegano się wówczas o dzierżawę terenów, sąsiadujących z „dobrymi" majątkami, będącymi naturalną ostoją drobnej zwierzyny.

Te prywatne łowiska dostarczały nie tylko wielkiej ilości bitej zwierzyny na rynek, ale również i zwierzyny hodowlanej w stanie żywym na potrzeby odświeżania krwi w łowiskach krajowych lub na eksport, który pięknie rozwijał się z roku na rok, przynosząc poważne zyski dewizowe.

Zmiany społeczno - gospodarcze zmniejszyły mocno powierzchnię majątków rolnych w kraju, pozostawiając jedynie pewną ich ilość, jak również dawne prywatne rewiry leśne, w ręku Państwa. Majątki, a zatem łowiska, pozostały wprawdzie, ale zmienił się ich właściciel, ich dysponent. W miejsce prywatnego właściciela, który z reguły był myśliwym, i którego stać było na ponoszenie pewnych wydatków, związanych z zaspokojeniem jego pasji łowieckiej, przyszedł administrator państwowego majątku, często nawet myśliwy, ale którego zainteresowanie hodowlą zwierzyny na terenie powierzonego mu majątku ograniczone jest do grzecznościowego stosunku do dzierżawiącego polowanie kółka myśliwskiego, co najwyżej do uczestnictwa w dorocznym polowaniu. Administratora majątku interesuje bowiem siłą rzeczy tylko jedno — p l a n produkcji majątku.

I tu dochodzimy do sedna zagadnienia odbudowy produkcji zwierzyny, mówiąc językiem ekonomisty, odbudowy h o d o w l i zwierzyny, przemawiając stylem myśliwego. Radykalnie zmienionym po wojnie warunkom gospodarczo-społecznym musi towarzyszyć zmiana sposobu postępowania, zastosowanie metod, które zdały egzamin w innych dziedzinach gospodarki narodowej.

Skoro bowiem majątki były ośrodkiem hodowli

drobnej zwierzyny przed wojną a obecnie zmienił się ich dysponent i miejsce prywatnego właściciela zajęło Państwo, ono musi teraz zająć się tą dziedziną. Należy po prostu wprowadzić hodowlę drobnej kulturalnej zwierzyny do planów produkcji majątków państwowych. Należy stworzyć plan produkcji zwierzyny — w pierwszym rzędzie zwierzyny hodowlanej— tak jak istnieje plan produkcji buraków cukrowych czy trzody chlewnej, z zachowaniem, oczywiście, hierarchii ważności problemów. Należy dążyć do realizacji tego planu tymi samymi drogami, jakie są stosowane przy realizacji wszelkich planów w ogóle, tj. w pierwszym rzędzie drogą zainteresowania nim jego wykonawców, drogą premiowania wykonania planu.

Powtarzamy:

1) Zadaniem planu jest odbudowa i rozbudowa produkcji (hodowli) drobnej zwierzyny łownej, mająca na celu przede wszystkim dostarczanie żywej zwierzyny hodowlanej, zarówno na potrzeby krajowych łowisk, jak i w przyszłości eksportu. Bez dostatecznej produkcji zwierzyny hodowlanej nie zaludnimy opustoszałych w wyniku wojny łowisk krajowych. Tam, gdzie zwierzyny po prostu nie ma, nie rozmnoży się ona z niczego, jedynie dzięki dłuższym terminom ochronnym czy też reorganizacji łowiectwa, powodującej nawet tak pożądany wynik, jak wzrost ilości (przymusowych) prenumeratorów „Łowca Polskiego". To chyba niesporne.

2) W celu osiągnięcia realizacji planu, należy stworzyć dostatecznie gęstą sieć punktów hodowli drobnej zwierzyny (miejsc produkcji). Proponuje się dokonanie tego w oparciu o majątki państwowe, drogą wprowadzenia do ich planów produkcyjnych hodowli zwierzyny, jako ubocznej gałęzi produkcji.

Należy wybrać zatem pewną ilość majątków, dysponujących zarówno naturalnymi warunkami jak i urządzeniami technicznymi (np. wolierami dla hodowli bażantów, zimowania kuropatw itd.) oraz fachowym personelem. Bardzo ważne jest przy tym odpowiednie operowanie polityką terenową, w celu stworzenia dookoła tych majątków dostatecznie szerokich pasów ochronnych z terenów obcych. drogą dzierżawienia na nich prawa polowania.

Wprowadzenie do planu produkcyjnego majątku hodowli zwierzyny jest niezbędne, gdyż tylko tą drogą stworzy się możność ponoszenia przez majątek koniecznych wydatków, związanych z hodowlą (dokarmianie zwierzyny, tępienie drapieżników, zakładanie i utrzymywanie remiz stałych i czasowych, stosowanie odpowiednich poplonów z częściowym pozostawieniem ich przez okres zimowy itp.) oraz odłowem zwierzyny, jak również zainteresuje się administrację i personel wykonawczy w realizacji planu..

3) Odbiorcą zwierzyny hodowlanej byłaby „Jedność Łowiecka", która spełniałaby też rolę czynnika instruktorskiego i kontrolnego w stosunku do administracji majątków, hodujących zwierzynę.

4) Plan długofalowy winien przewidywać stopniowe rozszerzanie produkcji zwierzyny łownej, zarówno drogą powiększania ilości punktów hodowli jak i wyników ilościowych. Założeniem jest nasycenie rynku krajowego przy stosowaniu systemu możliwie przystępnych cen sprzedażnych oraz stopniowe podejmowanie eksportu zwierzyny żywej, siłą rzeczy znacznie bardziej rentownego niż wywóz bitej zwierzyny.

5) Plan doraźny winien być ustalony i wprowadzony w życie jak najszybciej drogą:

a) wytypowania przynajmniej kilkudziesięciu majątków, przeznaczonych do produkcji zwierzyny hodowlanej w 1949 r.,

b) wprowadzenia odpowiednich zmian do planów produkcyjnych tych majątków oraz zaprowadzenia już teraz w nich należytej ochrony i zimowego dokarmiania zwierzyny oraz ewentualnego zimowego odłowu kuropatw i bażantów do wolier,

c) niezawierania w wybranych majątkach nowych kontraktów na dzierżawę polowania i rozwiązywania już zawartych, z chwilą ukończenia tegorocznego sezonu polowania. Ten ostatni postulat jest zarządzeniem niewątpliwie drastycznym i nieprzyjemnym, ale wierzymy, iż zainteresowane kółka łowieckie, w imię nadrzędnego, wszystkim myśliwym tak drogiego interesu rozmnoży naszych zwierzostanów, przyjmą je jako konieczną ofiarę.



Tygrys kniei polskiej *fot. W. Korsak*

W naszym najgłębszym przekonaniu dotychczasowa praktyka wykazała aż nadto dobitnie, iż — z bardzo nielicznymi wyjątkami — nie sposób w przyszłości opierać na kółkach łowieckich **hodowli** zwierzyny rozpłodowej, jedynie gwarantującej nam w niedalekiej przyszłości repopulację naszych łowisk. Dzieje się to nie tylko z powodu sprzeczności między dążeniem myśliwego, który chce polować a interesami hodowli — sprzeczności, którą możnaby symbolizować przeciwstawnością strzelby i sieci do odłowu. Znacznie ważniejszą rolę gra tu słabość finansowa oraz częsty brak fachowości u członków kółek myśliwskich, a przede wszystkim nader ważny moment oderwania ich od terenu, będącego miejscem hodowli. Są to czynniki natury strukturalnej i dlatego nie pomogą tu żadne posunięcia natury organizacyjnej.

Z drugiej strony, poświęcenie pewnych terenow **wyłącznemu** lub **przeważającemu** celowi produkcji zwierzyny hodowlanej drogą np. oddania szeregu obiektów w zarząd PZŁ czy „Jedności Łowieckiej", nie da się w praktyce z wielu powodów przeprowadzić. Jesteśmy świadkami słusznej tendencji odbierania poszczególnym użytkownikom majątków (jak również i lasów, np. samorządowych) i skupianie ich w ręku specjalnego przedsiębiorstwa państwowego. Skutkuje tu konieczność wprowadzenia hodowli zwierzyny w sferę planowej działalności Państwa, drogą wprowadzenia jej na stałe do planów produkcyjnych majątków państwowych. Jest to jedyna droga, zapewniająca jej naprawdę trwałe i solidne podstawy egzystencji i dlatego też jest to jedyna naprawdę skuteczna droga, wiodąca do poprawy naszych wyniszczonych zwierzostanów.

Warszawa, listopad 1948 r.

Leon Popławski

JÓZEF JURECZEK

NA DZIKI W KARPATACH

Zamarznięty śnieg skrzypiał pod płozami. 25° mrozu. Dzień zapowiadał się pięknie. Niebo we wschodniej części zarumieniło się od słońca, schowanego za górami.

Rano gajowy dał znać, że ma otropione stado dzików w tak zwanym Górnym Rewirze. Oprócz tego kilka luźnych sztuk miało kręcić się po okolicy, w tym jeden stary odyniec. Ojciec, będący nadleśniczym tych terenów, zorganizował na poczekaniu polowanie. Zawiadomieni myśliwi zeszli się w pół godziny na miejscu zbiórki, gdzie czekały już sanie i cztery niecierpliwe psy. Ja, mimo że byłem najmłodszy wśród zebranych i nie byłem jeszcze strzelcem na polowaniach, pierwszy stałem gotowy do wyjazdu. Opakowany w ciepły kożuch barani, usiadłem na koźle pierwszych sań i poganiałem konie, ażeby jak najprędzej dostać się na tereny, przeznaczone dziś do opolowania. Wprawdzie jeszcze na miejscu zbiórki ozwały się głosy, sprzeciwiające się mojej obecności na polowaniu (rzekomo z powodu niebezpieczeństwa, ale myślę, że nie to wchodziło w grę, raczej „uczty", jakie urządzali nasi myśliwi po polowaniu). Ale ja nie zwracałem zbytnio uwagi na gadanie „starych". Jak cygan, gdy go jednymi drzwiami wyrzucą, on drugimi się wpycha, tak ja, gdy mnie z jednych sań wyrzucili, siadałem na drugie, aż w końcu wszyscy zgodzili się na moją obecność i pojechałem.

Rewir znajdował się w górach, 12 km od miasteczka. Droga biegła stromymi stokami przez dziewicze lasy Beskidów Wschodnich. U stóp pasma górskiego szumiała rzeka, niosąc swe kryształowe wody do Morza Czarnego. Dolina, biegnąca od północy ku południowi, otwierała daleką panoramę na szczyty nadgraniczne, okryte białym kobiercem śniegu i skąpane w promieniach niewidocznego dla nas słońca. Wiekowe jodły i świerki, stojące na zboczu nad drogą, opowiadały swym szumem o dawnych czasach i świetnych łowach, jakich świadkami były. Co chwila strumyk, biegnący po zboczu, witał nas wesołą melodią, a wody jego, spadając kaskadami po skalnym podłożu, uciekały do rzeki. Konie, biegnąc po trzeszczących i chwiejących się mostach, kładły uszy po sobie, a uspakajały się na twardej ziemi.

Cel zbliża się szybko. Wreszcie droga wyprowadziła nas na obszerną „równą" polanę, na końcu której stała grupa zabudowań. Była to gajówka z przyległymi budynkami. Gajowy stał już na drodze i machał rękami. Zostawiając pojazdy pod opieką woźniców i dwóch synów gajowego, poszliśmy za naszym obecnym przewodnikiem w las, trzymając skowyczące z uciechy psy na smyczy. Szliśmy wysokim borem po śladach gajowego. Wysoko nad głowami uginały się lekko gałązki pod naporem wiatru. Po półgodzinnym marszu nakazał gajowy ciszę. Idąc obok psów, nie bardzo zwracałem na to uwagę, aż dostawszy dobrze za uszy od ojca, umilkłem, choć nie mogłem sobie w żaden sposób wyobrazić, jak dziki mogą się chować w wysokim lesie. Dopiero po chwili cała rzecz wyjaśniła mi się. Wyszedłszy na szczyt grzbietu górskiego, mieliśmy przed sobą olbrzymi zagajnik, oddzielony od wysokiego lasu szerokimi liniami przeciwpożarowymi. Jedna taka linia przecinała zagajnik, na dnie zaś doliny szumiał wartko potok.

Stok, pocięty gęsto wąwozami, był wymarzonym miejscem schronienia dla zwierzyny. Toteż już z daleka widać było liczne ślady zwierza płowego, ciągnącego na dzień do zagajnika. Raz natrafiliśmy na ślady stada dzików, podobno tych, które miały być w młodniku, w prawej części.

Strzelcy zajęli stanowiska. Idąc za ojcem na stanowisko, rozmyślałem nad ostatnimi jego słowami, gdy przydzielając myśliwym miejsca, rzekł: „Proszę pamiętać, panowie, nie strzelać do innej zwierzyny jak do dzików i drapieżników. Pierwszy strzał w każdym razie do dzika".

Więc jak to? — to sarny i jelenie, które są w młodniku, mają przejść przez linię niestrzelane? To nie mogło pomieścić się w mojej młodej głowie. To

strzelba, którą niosłem z taką dumą, nie przemówi do zajęcy? Tylko ten ciężki sztucer będzie miał dzisiaj głos?

Będąc już na stanowisku, które było ostatnie (musieliśmy przejść obok wszystkich myśliwych), ojciec zatrąbił na lufie i już po minucie odezwały się w zagajniku psy. Wysoki, szybko posuwający się głos mówił, że to jakaś drobna zwierzyna. Ale po niedługim czasie głos Nera, który przewodniczył zgrai, ozwał się głębokim basem, poważnie. Dzik! W zagajniku gotowało się. Liczna zwierzyna płowa przeskakiwała w popłochu potok, to znów zając w kilku susach pomknął przez lód. Gon posuwał się ukosem do nas, do zbiegu linii z potokiem. W pewnej chwili wybuchła nowa psia wrzawa w innym miejscu, zaraz po tym usłyszałem ostry skowyt i jednocześnie kilka, szybko po sobie następujących strzałów.

jednak czasu na rozważanie. Psy wróciły w zagajnik i znów dały głos. Gon posuwał się szybko na jedną z nieobstawionych ścian zagajnika. Widocznie jakiś ospały mykita, obudziwszy się, gdy psy były mu na karku, uchodził przed ich kłami. Miał szczęście, że nie trafił na największego swego wroga, człowieka, bo prawdopodobnie musieliby jego towarzysze zaśpiewać nad nim „Requiem aeternam".

Gon zamilkł w rozpadlinie, aby po chwili odbić się ostatnim echem od masywów górskich. Ojciec zagrał na lufie. Polowanie skończone. Po chwili zjawił się przy nas gajowy i bez słowa wziął się do oprawiania zdobyczy. W niedługim czasie transportowaliśmy wspólnymi siłami wypatroszonego dzika do miejsca zbiórki. Z daleka słychać było podniesione głosy.

— Oho! — uśmiechnął się ojciec — pewnie sporny strzał.



Dzik w miocie *fot. W. Puchalski*

Po strzałach druga grupa psów umilkła na pewien czas, aby po chwili ze zdwojoną wściekłością podjąć gon. Tym razem wrzawa posuwała się „na kulawy sztych", tak że była możliwość, iż dzik wyjdzie na nas.

Stojąc za ojcem drżałem cały z emocji, a serce biło mi tak mocno, że musiałem oprzeć się o drzewo. Coraz bardziej zbliżały się głosy, coraz mocniej uginały się nogi pode mną, a w chwili kiedy dzik-olrzym, napastowany przez psy, wpadł na potok, usiadłem na śniegu.

W tej chwili okazała się tresura psów. Gdy tylko zobaczyły, że dzik wypadł na obstawioną linię, momentalnie odskoczyły od niego i ułatwiły tym samym strzał. Ostry huk tuż nad uchem zawarł moje z podziwu otwarte usta. Dzik drgnął, jak gdyby uderzony obuchem, zachwiał się i zarywszy pyskiem w śnieg, padł. W momencie dwa łaciate ciała znalazły się na nim, warcząc i szarpiąc za kłaki i dopiero gwizd, poparty gromkim okrzykiem, przywołał psy do porządku. Podeszliśmy bliżej. Przed nami leżał olbrzymi odyniec, największy jakiegokolwiek widziałem. Zapadnięty brzuch i boki świadczyły o ciężkiej zimie. Nie było

Minąwszy ostatni zakręt, omal nie parsknęliśmy śmiechem. Dwóch starszych panów podskakiwało do siebie, kłócąc się przy tym tak zajadle, że nie zwracali na nic uwagi. Dokoła nich stała reszta myśliwych, od śmiechu trzymając się za boki. Na drugim planie leżały dwa dziki, a przy nich na rozpostartej bundzie pies, liżąc rany zadane mu szablami. Szybko podszedł ojciec do psa, obejrzał rany, obwiązał je, psa przykrył i zwrócił się do kłócących:

— O cóż chodzi, panowie? — spytał.

Teraz zaczęło się istne piekło. Kłócący się jeden przez drugiego zaczęli krzyczeć: — Ja zabiłem dzika...

— Nieprawda, to ja...

— Pan jesteś zdolny dzika ubić?... itp.

Po zbadaniu wszystkich okoliczności i przesłuchaniu świadków, zapadł wyrok, który zresztą od razu przewidziałem, a mianowicie każda strona otrzymała po jednej sztuce i porządną naganę w postaci mowy, wygłoszonej w godzinę później, gdy poszliśmy „Pod Jelenia", aby uczcić rezultat polowania.

Niektóre fragmenty tej mowy mogą być nauką dla niejednego młodego rycerza św. Huberta, tak jak były dla mnie; dlatego też przytaczam je tu:

„Myśliwi, mający sporny strzał, nie powinni nigdy w czasie nieobecności gospodarza kłócić się, do kogo ubita zwierzyna należy, gdyż jest to ujmą dla ich honoru. Gospodarz natomiast napewno będzie się starał rozstrzygnąć spór sprawiedliwie. Ażeby jednak uniknąć takich nieprzyjemnych zajść, powinno się, przy polowaniach z bronią kulową strzelać w kierunku przed polowaniem umówionym. Zwiększa się tym równocześnie bezpieczeństwo... Proszę więc nie dawać złych przykładów młodym i na przyszły raz proszę czekać z cierpliwością na decyzję gospodarza. A teraz— prosit!"

J. Jureczek

JÓZEF OSTROWSKI

MUFLONY

Muflony są gatunkiem dzikich owiec i należą do podrodziny Caprinae, obejmującej dzikie owce i dzikie kozy

Samce muflonow, czyli tryki, w odróżnieniu od samców dzikich kóz, nie posiadają tak zwanego „capiego zapachu", jaki cechuje dzikie capy (samce dzikich kóz). Zapach ten pochodzi z wydzieliny gruczołów, umieszczonych u samców dzikich kóz na dolnej stronie ogona.

Ojczyzną muflona są wyspy Morza Śródziemnego: Korsyka i Sardynia, a biotypem — las górski ze skałami. Ponieważ muflony, tak w swojej ojczyźnie, jak i zaaklimatyzowane na stałym lądzie Europy, krzyżują się chętnie i samorzutnie ze swojskimi owcami, więc okazy zupełnie czystej krwi trafiają się bardzo rzadko.

Bastardy są w dalszym ciągu płodne. Ujemnym objawem tego krzyżowania jest mniejsza odporność na choroby i mróz, a nadto zauważono, że silniejsza domieszka krwi owcy domowej powoduje skłonność do ogryzania kory drzew (spałowanie).

Owce muflonów z reguły nie posiadają rogów a tylko wyjątkowo nasadzają małe różki, nie dłuższe niż 10 cm. Trykom rosną rogi, zwane muszlami, w kierunku ku górze i na zewnątrz, z czasem zawijają sie spiralnie w dół, a następnie znów do góry, sięgając do wysokości oczu.

Ponieważ muflony rogów nie zrzucają, więc z czasem muszle są coraz dłuższe i coraz grubsze, dochodząc do potężnych rozmiarów, nigdy jednak nie stykają się u nasady, nawet u najstarszych okazów, co u dzikich capów jest regułą. Poprzeczny przekrój muszli jest w pierwszym roku dwusieczny, a u starszych tryków trójkanciasty. Roczny przyrost muszli na długość i na grubość jest w pierwszych pięciu latach bardzo silny, następnie jednak szybko maleje, ale trwa do końca życia. Zdarzają się wypadki nieprawidłowego wzrostu muszli i wrastania ich w kark tryka. Są to wypadki bardzo rzadkie.

Suknia jest w lecie koloru czerwonego, a w zimie czerwono-brunatna, nadto u tryków po obu stronach grzbietu znajduje się mniej lub więcej wyraźne białe siodło.

Podbrzusze i nogi od kolana w dół są ubarwione białawo. Na sukni znajdują się również ciemniejsze cętki. Tryki posiadają ciemną grzywę. Istnieją pewne dosyć nieznaczne różnice w ubarwieniu sukni, zależnie od tego czy sztuki pochodzą z Korsyki, czy też z Sardynii.

Współżycie muflonów z sarnami i jeleniami jest zgodne, natomiast kozice nie znoszą obecności muflonów i wynoszą się na stałe z miejsc, gdzie wprowadzono muflony.

Owce i jagnięta wydają głos podobny do beczenia swojskich owiec, natomiast tryki są w zasadzie nieme i tylko w razie niebezpieczeństwa wydają (jak zresztą i owce) głos ostrzegawczy, brzmiący jak coś pośredniego między sykiem a cmoknięciem. Jest to dźwięk niezbyt głośny lecz donośny.

Muflony są zwierzętami towarzyskimi i żyją w mniejszych lub większych stadach. Stada owiec przebywają w lecie osobno, lecz znoszą obecność młodych tryków. W zimie dołączają się do stada starsze tryki. Samotny żywot pędzą tylko bardzo stare tryki, które przy stadzie można spotkać jedynie w czasie rui. Ruja trwa od 4 do 6 tygodni, a czas ten, zależnie od pogody i położenia łowiska, przypada w okresie od sierpnia do stycznia. Tryki staczają w czasie rui zacięte walki. Zwycięzca pastwi się nad pokonanym rywalem, bodąc go dotkliwie końcami muszel.

Tak owce jak i tryki są zdolne do rozpłodu już w drugim roku życia, lecz dwuletnie tryki rzadko dochodzą do pokrycia owiec, gdyż są zbyt słabe, aby stoczyć zwycięską walkę ze starszymi i mocniejszymi rywalami. Owca nosi 22 tygodnie i rodzi jedno jagnię, które już po kilku dniach towarzyszy matce. W czasie niebezpieczeństwa jagnię nie kryje się, jak młode sarniątka, lecz ucieka wraz z matką.

Muflony są zwierzętami wybitnie leśnymi i zasadniczo żerują tylko w nocy, ale na żer wychodzą dość wcześnie, bo już przed zachodem słońca. Niekiedy żerują jednak także i w dzień. Żerowanie odbywa się podobnie jak u swojskich owiec, całą gromadą, która posuwa się powoli i zwartym szeregiem naprzód, szczypiąc trawę.

Pod względem pokarmu muflony są mało wymagające, żywią się trawami różnego gatunku oraz młodymi pędami drzew i krzewów, a wielką zaletą dla hodowcy jest fakt, że spasają one chętnie również gatunki traw ostrych, których ani sarny, ani jelenie nie jedzą, jak również wilczomlecz, którego żadna inna zwierzyna nie je.

Szkody wyrządzane przez muflony w uprawach rolnych są minimalne, co również odnosi się i do spałowania drzew. Ze zbóż zjadają chętnie dojrzewający owies. W zimie wykopują pokarm spod śniegu.

Najgroźniejszą chorobą dla muflonów jest motylica wątrobowa, dlatego też w łowisku, gdzie są muflony, nie powinny znajdować się wilgotne łąki i bagna. Poza tym podatne są one na wszystkie choroby, zagrażające owcom domowym.

Muflony przywiązują się silnie do miejsca, do którego zostały sprowadzone. W razie częstego niepokoje-

nia i przepłaszania, mogą wprawdzie opuścić łowisko nawet na dłuższy czas, jednak zawsze powracają, co ma wielkie znaczenie dla hodowcy.

Mięso muflonów jest bardzo smaczne i pożywne, a skóra i runo podobne do owczych. Waga grubego, dorosłego tryka rzadko dochodzi do 50 kg. Przeciętna waga 30—40 kg.

Żywot muflonów jest dość krótki, bo wynosi kilkanaście lat, w każdym razie okazy 15-letnie uważać należy za bardzo stare.

Muflony aklimatyzują się w Polsce bardzo dobrze, nawet w łowiskach, odbiegających od zasadniczego biotypu muflona, jak np. w czystych drzewostanach sosnowych, posówkowych. Ma to jednak ten ujemny skutek, że z braku skał i kamieni nie mogą muflony ścierać racic, które, wyrastając do nienaturalnej wielkości, utrudniają swobodne poruszanie się, a to napewno wpływa ujemnie na zdrowie i normalny rozwój.

Na pytanie czy warto forsować w Polsce hodowlę



Muflon *rys. S. Rozwadowski*

Zapoczątkowanie hodowli muflonów polega na sprowadzeniu i osadzeniu w łowisku jednego 3—5-letniego tryka i dwóch lub trzech kotnych owiec.

Do czasu urodzenia się młodych należy stadko trzymać w ogrodzeniu, urządzonym możliwie w centrum łowiska, ale w parę tygodni po urodzeniu się jagniąt można całe stadko wypuścić z ogrodzenia. Młode i słabe jeszcze jagnięta nie mogą odbywać dalekich wędrówek, przez co pośrednio zmuszają matki do pozostawania w łowisku, do którego całe stadko wkrótce się przyzwyczaja i pozostaje w nim na stałe.

muflonów, należy odpowiedzieć raczej negatywnie, tym bardziej w czasie, kiedy myśliwi powinni dbać o podniesienie wyniszczonego stanu zwierzyny rodzimej, a przede wszystkim sarn, których w Polsce jest zaledwie 10—15% ilości przedwojennej.

Tam jednak, gdzie sarn i przed wojną było mało i gdzie rosną w dużej ilości ostre trawy, muflon może być miłym urozmaiceniem kniei, tym więcej, że z inną zwierzyną płową zgodnie współżyje.

Ostrzegam jednak przed wprowadzeniem muflonów w okolice Tatr, gdyż obecność jego w Tatrach

spowodowałaby niechybnie wywędrowanie naszych rodzimych kozic.

Natomiast w okolicach takich, jak np. lasy Ojcowa pod Krakowem, hodowla muflona mogłaby z powodzeniem być tolerowana, a nawet jest pożądana.

W Polsce znajduje się obecnie na terenie lasów państwowych około 381 sztuk muflonów, a to: 97 tryków, 228 owiec i 56 jagniąt (stan z dnia 1 III 1948 r.).

Rozmieszczenie ich jest w przybliżeniu następujące:

Dyrekcje lasów państwowych	Tryków	Owiec	Jagniąt	Razem sztuk
Poznań, N-ctwo Sieraków	2	6	—	8
„ „ Wronki .	4	19	—	23
Zielona Góra, Przemkowo	3	3	—	6
Toruń, przypuszczalnie .	1	1	—	2
Wrocław, Bielawa . .	4	12	6	22
„ Głuszyce . .	6	11	—	17
„ Zielona Góra .	6	13	8	27
„ Wałbrzych .	2	4	—	6
„ Duszniki Zdrój	10	23	9	42
„ Kozłów . . .	1	2	—	3
„ Międzygórze .	3	20	—	23
„ Pokrzywna . .	3	6	—	9
„ Przygórze . .	1	1	—	2
„ Sobieszów . .	30	56	27	113
„ Lubawka . .	8	8	5	21
„ Piotrowice . .	5	31	1	37
„ Popławy . . .	5	6	—	11
Bytom	3	6	—	9
Razem . .	97	228	56	381

Na muflony poluje się w terenach górzystych, obchodząc miejsca, gdzie zwykle przebywają i następnie podchodząc pod wiatr ruszone stado lub pojedyńczego grubego tryka.

Polowania na terenach Ziem Odzyskanych opisuje szczegółowo H. Kuhlman w swej książce „Waidfrohe Stunden".

Na muflony można polować z naganką lub z zasadzki. Polowania z podjazdu dotychczas nie praktykowano.

Przy pędzeniu muflony, jako bardzo płochliwe, wychodzą natychmiast po ruszeniu naganki, ale nie mają żadnych stałych przesmyków i trudno odgadnąć, którędy wyjdą z pędzonego miotu.

Najbardziej wskazaną formą polowania byłaby zasiadka na ambonie. Ponieważ muflony wychodzą na żer jeszcze przed zachodem słońca, więc można przez lornetkę ustalić dokładnie jakość muszli i wybrać odpowiednią sztukę do odstrzału.

Ilościowy stosunek tryków do owiec należy w miarę możności utrzymać w granicach 1:1 lub 1:2.

Do odstrzału przeznaczyć należy w pierwszym rzędzie tryki starsze, które ogryzają korę drzew więcej niż inne.

Niektórzy myśliwi twierdzą, że tryki, których siodła na grzbiecie są ciemniejsze, posiadają ładniejszą i ciemniejszą barwę muszli. Nie jest to jednak jeszcze dostatecznie stwierdzone.

Osobiście zetknąłem się z muflonami tylko 5 razy i to zawsze wieczorem po zachodzie słońca. W czasie tegorocznego rykowiska jeleni wybrałem sobie miejsce na skrzyżowaniu linii, czekając na rozpoczęcie rykowiska. Kiedy usiadłem i spojrzałem w stronę, skąd przyszedłem, ujrzałem nagle na jakieś 50 kroków na środku linii kapitalnego tryka, stojącego nieruchomo jak posąg i spoglądającego na mnie. Nic sobie z tego nie robił, że podniosłem do oczu lornetkę, a następnie sztucer i dopiero po chwili przeszedł spokojnie przez linię w gąszcz, a tuż za nim jeszcze jeden gruby tryk i jedna owca.

To spotkanie i piękny widok kapitalnego tryka dało mi dużo emocji myśliwskiej, tak że od tej chwili zmieniłem swój dotychczasowy,, dość zresztą niechętny, stosunek do muflonów i uważam, że stadko muflonów w odpowiednich łowiskach może wzbogacić skalę wrażeń myśliwskich bez uszczerbku dla hodowli zwierzyny rodzimej, z wyjątkiem, jak już wspomniałem, obszarów tatrzańskich.

J. Ostrowski

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI

O WŁASNĄ SIEDZIBĘ DLA ZRZESZONEGO ŁOWIECTWA

Odbudowa zniszczonej przez wojnę stolicy jest nakazem dla wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej jak i dla działających na jej terenie instytucji, organizacji i stowarzyszeń.

Nakaz ten zrozumiały dokładnie instytucje państwowe i spółdzielcze, odbił on się szerokim echem w łonie partii politycznych, pobudził inicjatywę związków, stowarzyszeń jak i osób prywatnych i dziś widzimy jak na gruzach naszej ukochanej stolicy rosną z niebywałym rozmachem potężne gmachy, mające służyć celom Państwa i jego obywateli.

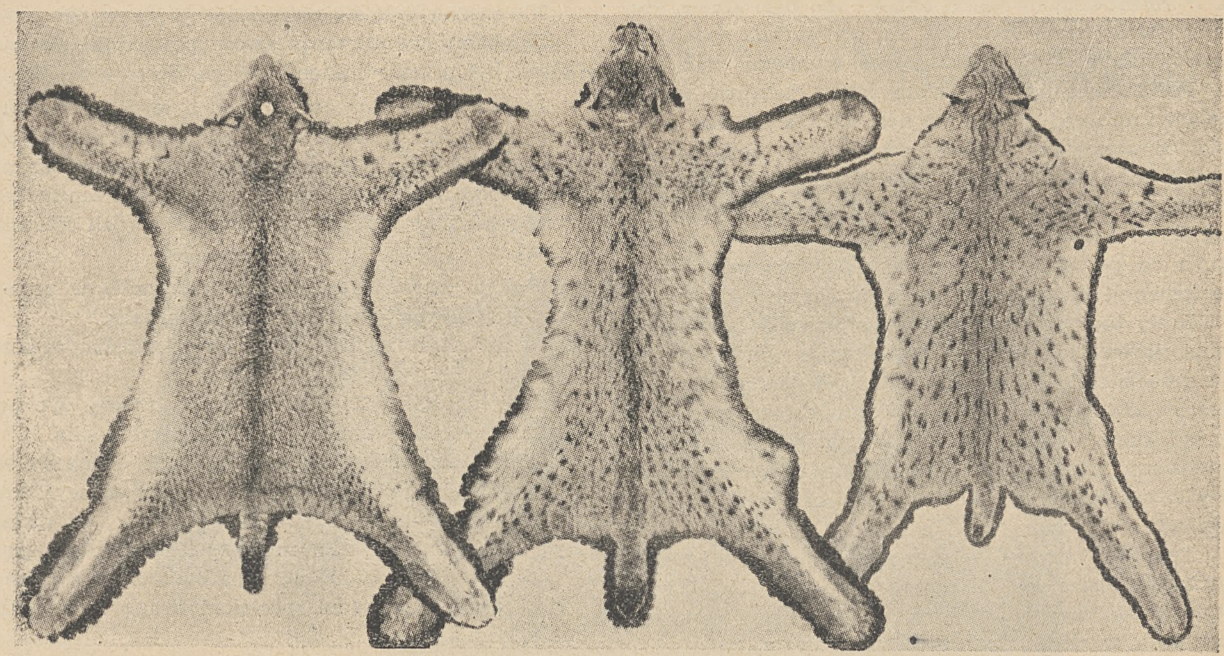
Zakrojone na szeroką skalę plany urbanistyczne miast jak i prace już wykonywane, dają podstawy do przypuszczeń, że przyszła nasza Warszawa, mająca oparcie w licznych parkach i wielkim zbiorniku wodnym, jaki przedstawia Wisła, stanie się jednym z piękniejszych miast kontynentu.

Nakaz ten zrozumiał też dobrze Polski Związek Łowiecki, który natychmiast po zalegalizowaniu zakrzątnął się koło budowy własnej siedziby, i zdobywszy z wielkim trudem niezbędne fundusze, wykończył w obcym gmachu schludne, miłe, lecz niewystarczające dla dzisiejszych zadań pomieszczenie.

Dziś, gdy liczba członków Związku sięga około 35.000 osób, gdy Łowiec Polski staje się jednym z bardzo poczytnych pism, którego nakład przechodzi wszelkie pierwotnie, ustalone oczekiwania, gdy lokal Związku oddawany być musi do użytku różnym pokrewnym or-

ganizacjom i gdy jest rzeczą wiadomą, że ramy jego nie będą mogły sprostać stale rozwijającej się organizacji naszego życia łowieckiego, musimy wrócić do powstałej już przed wojną inicjatywy i myśleć o budowie własnego gmachu, któryby służył nie tylko Polskiemu Związkowi Łowieckiemu, ale i pokrewnym organizacjom.

Przeciwnicy tej inicjatywy użyją niewątpliwie argumentów, że Związek jest zbyt młody, biedny i słaby, by mógł podjąć się takiej gigantycznej imprezy. Stanowisko takie nie będzie jednak słuszne, bo jeżeli weźmiemy dla przykładu, że proletariat polski zdołał w ciągu kilku zaledwie miesięcy zgromadzić z własnych składek sumę 750 000 000 zł. na budowę domu robotniczego, lub że taka mała stosunkowo instytucja, jak znane w stolicy Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie, liczące tylko około 700 członków, potrafiło w ciągu dwóch niespełna lat odbudować gmach przy ul. Foksal, przystań na Wiśle i basen do zimowej zaprawy wioślarzy, to od razu staje się rzeczą jasną, iż organizacja, licząca około 35.000 członków, przy odpowiednim sprężystym działaniu, może pójść śmiało na takie przedsięwzięcie. Wystarczy od jednego członka otrzymać na ten cel 500 zł, a osiągniemy 17 500 000 zł, która to suma łącznie z kwotą, którą będzie można uzyskać z odsprzedaży obecnie zajmowanego lokalu, powinna, na ogół biorąc, wystarczyć na projektowaną budowę. Gdyby jednak plany budowy opracowane zostały w szerszym zakresie, to Polski Związek Łowiecki potrafiłby niewątpliwie uzyskać na ten cel odpowiednie kredyty, które pokryte byłyby z zysków, jakie przynosiłaby Związkowi taka siedziba.



Trzy typy rysi polskich

Jakkolwiek dodatkowe obciążenie członków Związku sumą 500 zł nie byłoby może wszędzie przychylnie powitane, to jednakże przyjmując pod uwagę, że ofiara taka stanowi zaledwie równowartość 9 naboi lub jednego zająca, winna być ona bez szemrania poniesiona, tym bardziej, że ciężar jej nie zaważy zbyt dotkliwie na finansach Kolegów myśliwych. Kogo stać na zakup choćby jednej tylko setki naboi, który ma na opłatę dzierżaw, na dojazdy i na inne koszty polowania, tego stać również na taką skromną ofiarę, dzięki której łowiectwo polskie, jak i pokrewne mu organizacje zdobędą własną, odpowiednią siedzibę.

Gmach i teren przyszłej siedziby Polskiego Związku Łowieckiego powinien być tak pomyślany, by znalazły w nim pomieszczenie wszystkie pokrewne Związkowi organizacje, i by w pomieszczeniach tych mogły być urządzane pokazy i wystawy łowieckie, wystawy psów i innych drobnych zwierząt domowych, pod które brak miejsca boleśnie dziś odczuwamy. W gmachu tym, koncentrującym interesy myśliwych i często przez nich odwiedzanym, powinna znaleźć miejsce i spółdzielnia „Jedność Łowiecka", której obecna siedziba cierpi również na brak należytego pomieszczenia. Tam też powinny być urządzone strzelnice dla wypróbowania broni myśliwskiej oraz dla konkursów z broni małokalibrowej i pistoletów.

Eksploatacja samego gmachu, rozporządzającego wielkimi salami, nadającymi się do imprez wszelkiego rodzaju jak i przyległym do niego terenem, winna być prowadzona handlowo i przynosić poważne zyski, które mogłyby być obracane na łowiectwo i na cele z nim powiązane.

Dziś, gdy przydział terenów budowlanych nie nastręcza zbyt wielkich trudności, Polski Związek Łowiecki powinien jak najprędzej podjąć dawniej już rzuconą inicjatywę i przystąpić do powzięcia odpowiedniej uchwały. Realizacja tej uchwały dałaby z jednej strony należyte i racjonalne podstawy do dalszego rozwoju łowiectwa, ze strony zaś drugiej byłaby widomym znakiem, że łowiectwo polskie przyczyniło się również do nakazu chwili, jakim jest odbudowa naszej stolicy.

W pracy nad tą odbudową przyjmują dziś udział wszystkie ogniwa naszej gospodarki narodowej, wśród których nie może zabraknąć zrzeszonego łowiectwa.

A. Śliwiński.

INŻ. WŁADYSŁAW DOMAŃSKI

NA DZIKI Z ZASADZKI

Owego lata sprawa szkód, poczynionych przez dziki na terenie prawie całej Polski, narobiła dużo wrzawy. Do prasy stołecznej przedostały się alarmy, wieszczące o znacznych szkodach. W tym okresie czasu (1933 r.) przebywałem na Polesiu. Wyłaniała się konieczność zorganizowania obławy. Do tego rodzaju polowań latem nie miałem nigdy przekonania, bo przeważnie kończą się wybiciem sztuk młodych, które mogłyby spokojnie dorastać do odpowiedniej wagi. Ale w grę wchodziła wyższa siła, nakaz życiowej konieczności.

W ulubionej restauracyjce powiatowego miasteczka P. rozmowom na temat obławy nie było końca. Panująca wciąż słota sprzyjała im, wytwarzała specjalny nastrój, ułatwiający niefrasobliwą wymiane zdań.

Postanowiliśmy w ścisłym kółku urządzić nocną zasiadkę na dziki w znanym nam dobrze miejscu, przy polu deputatowym administracji leśnej. Był to dość wąski, lecz bardzo długi pas ziemi, graniczący od wschodu i zachodu z łąkami, od północy z gęstym zagajnikiem sosnowym z domieszką brzozy, iwy, osiki, itp, a od południa z bagnami, pokrytymi trzęsącymi się kępkami długich, ostrych i kwaśnych traw.

Rosły tam bagnica, turzyca, bliźniaczka wyprostowana, krwawica, skrzypy itp. Przejście przez bagno dla przeciętniaka było niemożliwością, jedynie gajowy Pietrek, skacząc z nieprawdopodobną zręcznością z kępy na kępę i chwytając się wysokich traw, umiał przedzierać się przez te przepaściste bagna, które po prostu wchłaniały w siebie każdą ofiarę, niebacznie tam wkraczającą.

Pośrodku tkwiły przerzucone kładki, a raczej zmurszałe bierwiona pokryte gęstym narostem traw i wodorostów. Wąski most, upleciony z traw, które go, zwłaszcza w ciemniejsze noce, maskowały.

W toku gawędy o tym moście, aptekarz S. pochylił się w moją stronę, odruchowo chwycił za guzik (obawiałem się że urwie, bo guzik ledwo wisiał na nitce), przyciszył głos i tonem tajemniczym mówił: „Wyobraźcie sobie, w tym miejscu, gdzie leżą owe kładki, straszy... Ni z tego ni z owego wynurza się niekiedy z bagien siwy pan w kapeluszu i spaceruje po moście, uplecionym z traw".

Spojrzeliśmy po sobie, nastała chwila milczenia. Zapanował nastrój ni to zdziwienia, ni niepokoju, w każdym razie czegoś tajemniczego. Nadleśniczy poprawił nerwowo okulary, sędzia wychylił kieliszek, ja odruchowo bębniłem palcami po pustym talerzu. Wszyscy gotowi byliśmy bezapelacyjnie uwierzyć w istnienie „siwego pana w kapeluszu".

— Co tragiczniejsze — ciągnął dalej aptekarz — że w tym bagnie utonęło już kilka osób. W zeszłym roku — nauczyciel ludowy, który wracając bliższą drogą do swej wioski w dżdżysty wieczór jesienny, pośliznął się na tym „moście" i wpadł w trzęsawisko. Po paru dniach wydobyto ciało topielca. Miejscowa legenda utożsamiała „siwego pana w kapeluszu" z nieszczęsnym nauczycielem, jako że też nosił kapelusz...

Zmrok się już wkradał do pokoiku. Spojrzałem w okno, rosnące po przeciwległej stronie drogi krzewy i krzaki przybierały fantastyczne kształty. W mózgu kłębiły się widziadła „siwego pana w kapeluszu"...

Ustalono, że na następną noc we czwórkę zaczaimy się na wyznaczonych miejscach na dziki.

Nazajutrz, wespół z leśniczym Olesiem i gajowym Pietrkiem, umieściliśmy w krzakach prowizoryczne ławeczki. W kierunku na północ, skąd dziki zwykle się jawiły, przecięliśmy odpowiednie luki.

Drugie stanowisko znajdowało się naprzeciw miejsca „gdzie straszyło". Zebraliśmy się wieczorem. I co za pech... mnie przez losowanie przypadło drugie stanowisko. Chciałem zamienić się miejscem. Nikt się nie pokwapił, nawet odważny sędzia P.

Nie można było się cofnąć...

Zajęliśmy w milczeniu swoje posterunki. Gajowy Pietrek był przewodnikiem.

Zasiadłem na ławeczce. Niebo było nieco zachmurzone, widzialność osłabiona. Starałem się na wszelki wypadek odszukać charakterystyczne gwiazdozbiory. W północno-wschodniej części nieba, bliżej zenitu, ledwo migotał ślad „Cefeusza" w postaci dwóch ostatnich gwiazd...

Wiatru prawie żadnego. Cisza dzwoniła w uszach. Skupienie... Napięty słuch... Co będzie dalej?

Jakże wolno upływa czas w takim natężonym oczekiwaniu!

Cierpliwości!... To jeszcze jedna szkoła życiowa. Na cierpliwości opiera się nieraz los człowieka.

Jakiś szmer. Natężam słuch i wzrok. W cieniu widzę przed sobą jakiś czarny krąg, który najwyraźniej posuwa się ku mnie. Dzik?.. Biorę na cel... Wystrzał... Zbyt blisko było, żebym mógł spudłować. Dzik padł, lecz nie pozostał na miejscu, jakby czołgał się dalej.

Na wszelki wypadek posłałem drugą kulę. Dzik znieruchomiał.

I wraz z prawej strony usłyszałem dwa po sobie szybko następujące wystrzały. Obejrzałem się: z prawego skrzydła szły bezładnie w moim kierunku dziki... Do najbliższego z nich, prawie bez wycelowania (nie było czasu) palnąłem na wszelki wypadek dwa razy. Dzik zatoczył się i o dziwo! zamiast iść wraz ze stadem na północ, zmienił kierunek i wali tuż obok mnie, wprost na bagno.

— Postrzelony? Nie zastanawiając się długo, decyduję się podążyć za nim, by go dobić. Ładuję pośpiesznie dubeltówkę, biegnę. Lecz nie widzę już nic. Czyżby dzik zwalił się, czy też dotarł do bagna. W tym wypadku słyszałbym przecież „człapanie"...

Biegnę co sił... Wtem zdaję mi się, że natrafiłem na ów niby most z bierwion-kładek. Kołek wbity znaczy początek „mostu". Tu właśnie winny leżeć kładki, barwą swą tak harmonizujące z otoczeniem — z tłem bagna.

— Iść dalej czy nie iść? Dzik zapewne leży w pobliżu...

Wymacuję nogami niepewny teren, posuwam się wzdłuż oślizgłych kładek... Strzelbę trzymam przed sobą, nie odbezpieczam.

Zrobiłem kilkanaście kroków. Dzika niema. Albo „wykończył" się, albo zmienił kierunek.

Trzeba wracać. Wtem, wielkie nieba! O kilka kroków przede mną ktoś idzie na moje spotkanie... Gajowy

Pietrek? Wyraźnie widzę... kontury „pana w kapeluszu".

Ze zjeżonych z przerażenia włosów cyklistówka poszła w górę, krew uderzyła do głowy, ręce zwilgotniały. Strzelba przylgnęła do rąk...

„Pan w kapeluszu" posuwa się wciąż bliżej, kładki są zbyt wąskie, by mógł mnie minąć. Jeden z nas musi wpaść w trzęsawisko...

Nie. „Pan w kapeluszu" minął mnie. Nawet się nie otarł. Zawirowało mi w głowie, straciłem równowagę i wraz z dubeltówką wpadłem w bagno.

I odrazu otrzeźwiałem.

Jakże energiczny staje się człowiek w obliczu niebezpieczeństwa! Jedna tylko myśl i jeden wysiłek, żeby uniknąć ponownego spotkania z „panem w kapeluszu". Nie szukać zmurszałych kładek, po których „On" spaceruje, iść prostą drogą w kierunku gajówki...

Wzywać pomocy? Narazić się na drwiny? Nasuwać przyjaciołom temat do śmiechu?

Odległość, dzieląc mnie od gajówki, wynosiła 600—800 metrów.

Dopiero nad ranem, w stanie pożałowania godnym, resztkami sił dowlokłem się do zagrody Pietrka.

Zjawili się również koledzy. Byli zaskoczeni moim wyglądem. Na razie nie byłem skłonny do zwierzeń.

Niebawem na gajówkę przywieziono drogą okrężną 3 dziki, w tym dwa moje. Okazało się, że mój dzik, za którym pędziłem, zmienił nieco kierunek i tuż przy bagnie padł.

Historia z „panem w kapeluszu" nabrała dużego rozgłosu.

Kolega aptekarz tak się nią przejął, że w kółku znajomych wygłosił odczyt na temat: „Przyczynowość zjawisk w świetle teorii Jogów". Powołał się przy tym na nasze sławy w tej dziedzinie: doktora Habdanka i Ochorowicza.

Ale co się tyczy polowań z zasiadki na dziki, to do tego rodzaju polowań straciłem chęć na zawsze.

Inż. Władysław Domański



Piękny pokot *fot. A. Chodubski*

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

NASZE NIEDOCIĄGNIĘCIA

Już czwarty rok mija od chwili, gdy Polski Związek Łowiecki wznowił swą powojenną działalność, oplatając siecią organizacyjną wszystkie województwa oraz powiaty, tworząc rady wojewódzkie i powiatowe, mianując łowczych i podłowczych. Te cztery lata wytężonej pracy dały nadspodziewanie dobre rezultaty w każdej dziedzinie życia łowieckiego.

W tym okresie początkowym rozbudowaliśmy bowiem i umocniliśmy naszą organizację łowiecką, zyskując przychylne poparcie oraz współpracę państwowych władz administracyjnych, Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego i organów Milicji Obywatelskiej Przy ich wydatnej pomocy ukróciliśmy w znacznej mierze rozwielmożnione powojenne kłusownictwo oraz wnykarstwo, zredukowaliśmy też częściowo plagę wałęsających się psów wiejskich, a dzięki temu dźwignęliśmy na wyższy poziom zdewastowane przez czas wojny zwierzostany, których poprawa wyraźnie już się zaznacza z każdym sezonem.

Przez wznowienie wydawania naszego organu

związkowego, Łowca Polskiego, krzewimy kulturę łowiecką wśród najszerszych rzesz myśliwych, z zasadami wiedzy i etyki myśliwskiej docieramy przy pomocy naszych wydawnictw do miast, osad i pod strzechy wiejskie. Filmy łowieckie ukazują się na ekranach kin czy sal odczytowych. Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" rozprowadza broń, amunicję i wszelkie przybory myśliwskie po terenie całej Polski.

Jak widać z powyższego — bilans dodatni naszej pracy organizacyjnej jest olbrzymi i zupełnie słusznie możemy być z niego dumni, jednak w artykule tym pragnę zwrócić uwagę na nasz bilans ujemny, na te różne nasze niedociągnięcia, które musimy poznać i starać się je usunąć w jak najszybszym czasie.

Najpoważniejszą usterką w pracy P.Z.Ł. jest brak jednolitych przepisów, opracowanych przez Komitet Wykonawczy dla wszystkich wojewódzkich rad łowieckich w sprawie gospodarowania przez nie i wydawania zarządzeń na swym terenie. W chwili obecnej panuje kompletna decentralizacja. Każda wojewódzka rada łowiecka rządzi się wg własnego upodobania, nie oglądając się na zarządzenia obowiązujące w sąsiednich województwach i przez to tworzy się łańcuch niepodległych niejako państewek, co w rezultacie ogólnym stwarza tylko chaos i utrudnia właściwą pracę organizacyjno — łowiecką.

I tak w jednym województwie istnieje przymus należenia do kółek myśliwskich. Członek P.Z.Ł., który nie należy do żadnego kółka — nie może uzyskać pozwolenia na broń ani polować. W innym województwie natomiast wystarcza sama przynależność do P.Z.Ł., by zezwolenie na broń i karta łowiecka zostały automatycznie wydane. Dalej, na terenie jednej W.R.Ł. każda gmina, a nawet każde większe osiedle posiada własne kółko myśliwskie, liczące 15 — 25 członków i dzierżawiące tereny łowieckie, przez co województwo takie liczy 100 albo i więcej kółek, tymczasem tuż obok wszyscy myśliwi powiatu zrzeszają się w jedno koło, liczące paręset członków i polują bez ograniczeń na terenie całego swego powiatu.

Jeżeli chodzi o proceder uzyskiwania zezwoleń na broń myśliwską, to i tu nie jest lepiej. W jednym województwie prawo posiadania pozwolenia na broń ma tylko i wyłącznie członek P.Z.Ł. Bez zastępczej karty łowieckiej, wystawianej przez wojewódzką radę łowiecką, Urząd Bezpieczeństwa Publicznego pozwolenia nie wydaje. W innych znowu okolicach zasada ta nie jest wcale przestrzegana i karta łowiecka, a tym samym przynależność do P.Z.Ł., bynajmniej nie decyduje o tym, kto zezwolenie na broń ma otrzymać.

Jeszcze większy chaos panuje w terenie, gdy chodzi o dozwolone sposoby polowania i lokalne czasy ochronne dla zwierzyny. Tu już nawet nie W.R.Ł. a łowczowie powiatowi wydają własne zarządzenia, tak, że przekraczając granicę powiatu myśliwy nigdy nie jest pewny jak i na co ma polować. Typowym przykładem takiego qui pro quo było tegoroczne polowanie na kuropatwy, W jednym powiecie wolno było np. odstrzelić myśliwemu w sezonie 10 kur, tuż zaraz obok polowanie istniało tylko dla posiadaczy wyżłów, w trzecim powiecie tego samego województwa — kuropatwy pozostawały pod całkowitą ochroną, w czwartym — zezwolono na polowania wyłącznie zbiorowe z naganką, a jeszcze w innych — na terenie pewnych tylko gmin wolno było polować, podczas gdy reszta gmin objęta została ochroną.

Tak samo rzecz się ma z zającami. Tu stosuje się pędzenia, tam znowu kotły, a wiejskie kółka polują nierzadko nadal ławą lub na pomyka, albo improwizują jakieś sposoby przez dodanie kilku naganiaczy.

Jedne wojewódzkie rady łowieckie prowadzą specjalne kartoteki członków, inne tego nie prowadzą, tu obwody łowieckie są rejestrowane w starostwach, tam znowu tylko przez łowczych powiatowych. Wojewódzka rada łowiecka w X pobiera taką składkę, podczas gdy w Y składka jest wyższa lub niższa.

Podobnych przykładów można przytoczyć dziesiątki, mnie jednak chodzi o to, by wykazać zło istniejące i zwrócić uwagę czytelników kompetentnych na potrzebę położenia kresu tej „sobiepańskości", która do znormalizowania spraw łowieckich bynajmniej nie dopomaga, a wręcz odwrotnie: utrudnia tylko normalną i racjonalną pracę organizacyjną i doprowadza do anarchii w terenie.

Rozumiem doskonale szlachetne pobudki łowczego, który na zebraniu powiatowej rady łowieckiej, przeprowadza uchwały o zamknięciu w powiecie polowania na zające „w kotła". Czy jest to jednak właściwe, gdy sąsiedzi na swych terenach nie wprowadzą takiego zarządzenia, ani nie będzie ono obowiązywało w województwie, z wyjątkiem tego jednego powiatu? Zdajemy sobie sprawę, że Naczelna Rada Łowiecka dąży stopniowo do wydania takiego zakazu, a więc za rok najdalej „kocioł" przejdzie pewnie w Polsce do historii. Czy jest więc uzasadniony ten „pośpiech" łowczego, pośpiech, który da w ciągu roku wątpliwe tylko korzyści łowiectwu, a szerzy natomiast zamęt i rozgorycza myśliwych, zwłaszcza wiejskich zżytych od lat z polowaniem „w kotła".

Moim zdaniem tego rodzaju zakazy winny pochodzić z góry i obowiązywać jednocześnie na terenie całego kraju, bez tworzenia takiej „szachownicy", jaką widzimy dzisiaj w stosunkach łowieckich.

Albo sprawa terminów ochronnych. Rok rocznie wojewódzkie rady łowieckie zgłaszają swe wnioski Naczelnej Radzie Łowieckiej w sprawie terminów ochronnych dla zwierzyny ze specjalnym uwzględnieniem swych warunków lokalnych. Wnioski te proponują przedłużenie czasu ochronnego lub też jego skrócenie. Minister Leśnictwa w większości wypadków uwzględnia te propozycje, wydając roczny kalendarz czasów ochronnych dla całego kraju. I cóż się okazuje? Oto wojewódzka rada łowiecka, która prosiła np. o zniesienie całkowitej ochrony w tym województwie na cietrzewie, z chwilą, gdy rozporządzenie Ministra Leśnictwa zezwoli na odstrzał cietrzewi w pewnym okresie czasu — sama zaczyna stosować różne ograniczenia, albo nawet zamyka całkowicie swą uchwałą odstrzał tej zwierzyny. Pomijając już fakt, że podobnym postępowaniem podrywamy swój autorytet wobec władz państwowych, to historie takie wywołują szereg nieporozumień i gmatwają i tak już powikłany terminarz czasów ochronnych w kraju. O ile zaś W.R.Ł. wprowadza już czas ochronny, to przynajmniej winien on obowiązywać na terenie całego województwa, a nie stwarzać „szachownicy" powiatowej, jak to miało ostatnio miejsce z polowaniem na kuropatwy.

Bibl. Jag.

I w takich wypadkach Naczelna Rada Łowiecka winna mieć coś do powiedzenia. Zwierzchnie władze łowieckie muszą raz wreszcie ujednostajnić wszystkie te rozbieżności, które pokrótce wymieniłem, muszą je ująć w pewne ramy i odpowiednie wytyczne podać radom wojewódzkim do ścisłego przestrzegania. **Polski Związek Łowiecki jest przecież jedną organizacją na terenie całego kraju, a nie tylu organizacjami, na ile województw dzieli się nasze Państwo.**

Okres czterech lat wystarczył najzupełniej, by przebrnąć przez stan prób czy eksperymentów i zatym cierpi. Powstają zaległości, przeoczenia i szereg innych niedociągnięć, których on sam nie jest w stanie zlikwidować. A tymczasem koledzy z zarządu radzą, nawet krytykują, a jakże, lecz bynajmniej nie kwapią się z pomocą. „On przecież jest sekretarzem — to jego robota".

Przy wyborze władz do rad łowieckich czy zarządów kółek myśliwskich, wysuwane są kandydatury osób, co do których nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pracować nie będą, ale biorą się pod uwagę względy prestiżowe, bo to lekarz, dyrektor, profesor



Tanecznica leśna *fot. W. Korsak*

cząć dalszą pracę na pewnych, ugruntowanych podstawach. Jesteśmy dziś dostatecznie liczną i silną organizacją, by położyć kres tym niedomaganiom w terenie, które jak dotąd panoszą się wszechwładnie i nabierać nawet zaczynają „praw zwyczajowych".

Drugą usterką naszego życia organizacyjnego, jak zresztą wszystkich stowarzyszeń, jest nieróbstwo członków zarządów na każdym szczeblu hierarchii organizacyjnej. Utarł się bowiem już od lat taki zwyczaj, że z pełnego składu władz, wyłonionych przez walne zebranie, pracują w rzeczywistości maksimum 1 - 2 osoby, „orzące" za wszystkich. Reszta to figuranci, których działalność polega na mniej lub więcej pilnym uczęszczaniu na zebrania, zwłaszcza, gdy te ostatnie połączone są z kolacyjkami klubowymi. Osoby takie udają poza tym ogromne zapracowanie i przy każdej okazji podkreślają swe „poświęcenie" dla dobra sprawy łowieckiej, choć w istocie nic absolutnie nie robią.

Siłą rzeczy cały ogrom pracy, zwalonej na jakiegoś sekretarza czy vice-prezesa, nie pozwala mu wywiązać się należycie ze swych zadań i całość sprawy na czy inna znana osobistość. Jednocześnie upatruje się już odrazu „kozła ofiarnego", który ma wszystko prowadzić i tego wciąga się niemal siłą w skład „dostojnego" zarządu. Wtedy jest pewność, że robota pójdzie, pomimo, iż reszta — to sami figuranci.

Z takim stanem rzeczy musimy walczyć bezlitośnie. W zarządach potrzebni są nam ludzie czynu, chętni, pracowici działacze łowieccy, a nie klika nierobów. PZŁ przeszedł już przez okres organizacji, kiedy imponowały może stosunki i protekcje. Dziś to już jest szczęśliwie poza nami i nie należy do tego powracać. Powierzając władzę łowiecką wybranym osobom, musimy zdawać jasno sprawę z tego, komu ją powierzamy i czy ludzie ci podołają przyjętym obowiązkom. Nie wolno powodować się takimi względami, że „Magister się obrazi, jak go nie wybierzemy" a „Mecenasowi będzie przykro, bo w zeszłym roku był przecież prezesem". Niech na ich miejsce przyjdą nowi ludzie, którzy ochoczo wezmą się do pracy dla dobra umiłowanego łowiectwa polskiego, ludzie może bez tytułów naukowych, ale dający gwarancję, że podniosą wysoko nasz zielony sztandar św. Huberta.

W ciągu czterech lat pracy odrodzonego po wojnie Polskiego Związku Łowieckiego zrobiliśmy bardzo wiele, znacznie więcej, niż pozostało jeszcze do wykonania. Tym nie mniej jednak musimy bezwłocznie usunąć te przykre usterki czy niedociągnięcia, które hamują i opóźniają dalszy rozwój naszej organizacji łowieckiej, zwłaszcza, że przy odrobinie zrozumienia istoty rzeczy i dobrych chęciach — usunąć je będzie zupełnie łatwo.

Leopold Pac Pomarnacki

L. HRYNCEWICZ

NA KOŃSKIE ŚCIERWO

Od tygodnia leżało w rojście bez żadnego skutku, a że pogoda dopisywała wciąż ciepła i pierwsze śniegi prawie doszczętnie spędziła — zaczęło porządnie podśmierdywać. Ale i to nie pomagało — wilków jakoś nie było czy też wyniosły się w inne okolice. Zresztą trudno było coś pewniejszego na ten temat skonstatować, gdyż ziemia coraz bardziej z pod resztek śniegu zaczęła się wyłaniać i wszelki ślad przepadał na czarnym polu.



Tomaszowy dublet *fot. L. Hryncewicz*

Przeto postanowiłem przesiedzieć noc jedną przy padle i przekonać się jak sprawy stoją. 20 grudnia wieczorem ścisnął mrozik i wyraźnie wyglądało na to, że pogoda się odmieniła. Zaopatrzony w solidne wojłoki gospodarza (Tomasza Z) i w ogromny kożuch pani Teresy, uzbrojony w sztucer i lornetę, wybrałem się z Jaśkiem Rokickim niekutymi sankami, bo się lżej dla konia przesuwają po niecałkiem pokrytej śniegiem ziemi, do lasu pod z góry upatrzone rozłożyste drzewo — dąb, stojący na skraju polany, na której leżało ścierwo końskie. Dąb był rozłożysty, o licznych i grubych konarach, więc usadowienie się znalazłem wygodne. Oparłem się o pień i zamarłem w bezruchu. Jasiuk odjechał. Widok i obstrzał miałem dobry, więc tylko należało westchnąć do św. Huberta, by pokazał się księżyc, no, i by przyszły wilki.

Koło jedenastej, wraz z coraz bardziej dokuczliwym mrozem, wynurzyła się zza drzew wielka tarcza księżyca w pełni. Zamazane kontury przedmiotów zaostrzyły się, jakgdyby wyszły z dotychczasowego zamglenia, jakgdyby wywołały się na kliszy. Resztki śniegu i szron na krzakach i trawach polanki zaiskrzyły się tysiącem brylancików, wierzchołki okalających rojstę jodeł odcięły się czernią od zgranatowiałego nieba, miliony gwiazd zaczęły sypać drobniutkie iskierki, niby „zimne ognie“ na choince wigilijnej.

W całej kniei panowała cisza, pełna majestatu, majestatu, na który jedynie stać Matkę Przyrodę.

W oddali, zrazu nieuchwytny nieomal dla ucha, rozbudził się szum przelatującego pociągu — przeciągły gwizd lokomotywy wdarł się obcym dźwiękiem w ciszę boru, stukot kół zamarł na stacyjce — znów się zbudził, zahuczał, zastukał, malał, uciekał, nikł, aż zginął w oddali, roztopił się w ciszy, w ciszy tak kompletnej, że aż w uszach zaczęło dzwonić.

Gdzieś w niedalekiej dębinie odezwał się puchacz. Niesamowity głos hukania odezwał się echem w przeciwległej ścianie boru i znikł, nie wprowadzając dysonansu w całokształt otoczenia. Szczeknął lis. Sprężyłem się, jednocześnie poczułem, że lewa noga i lewa strona uda, bok cały zdrętwiał mi i tysiące igiełek do pięty aż po pachę kolą mnie raz po raz. Uczucie dziwne, bo i przyjemne i tak przykre zarazem, że nie do wytrzymania. Starałem się, jak najmniej robiąc szumu, zmienić pozycję — i naraz krew popłynęła wartkim prądem w zdrętwiałych członkach i zrobiło się gorąco... mikita cichuteńko wysunął się na polanę. Przypadł do ścierwa i zarazem przepadł mi z oczu w cieniu kobyły. Coś się tam ruszało, coś drgało, coś żyło, ale o złożeniu się nie było mowy. Do uszu dochodził chrzęst rwanego padła — czasem trzasnęła obłupywana mocnymi szczękami kość.

Uczta trwała w nieskończoność zda się, ja zaś siedziałem na dębowych konarach, bez ruchu, zmarznięty, zdrętwiały, z nieustępującą z serca falą emocji i... nie mogłem strzelić. W najbardziej niespodziewanym momencie lisiura prysnął w las i... poszedł.

I dobrze się stało, że nie doszedłem do strzału, bo bym zapewne „zapaskudził“ prochem miejsce i ścierwo, no i nie byłoby dalszego ciągu. A dalszy ciąg był następujący:

23 grudnia od samego rana do wieczora padał śnieg. Padał i padał, jakby chcąc nadrobić stracony czas. Jeszcze z wieczora przyszedł Jasiuk, od progu „zajawił“ rozkazującym tonem, że „jutro, czućświt pojedziem, wilcy tylko i czekali śniegu, objedzim ich z cało pewnościo. O 5 będę“ i poszedł.

Wilki zeległy dość wcześnie i niedaleko, bo na Sa-

mance. Wytelefonowani ze strażnicy pogranicznej myśliwi byli już o dziesiątej w lesie.

O godzinie 10,30 ruszyli zaputnicy. Na linii po prawej ode mnie, na czystym, na haliznie kończącej się rojstem, za 25 centymetrową sosenką stał Tomasz. Moje stanowisko było bardzo obiecujące, na znanym wilczym dukcie, na którym nie jeden basior życie postradał. Przed nami rojst był dość przejrzysty, widać było daleko w ostęp. Prawie że zaraz, jak tylko ruszyła naganka, spostrzegłem idącego lekkim truchcikiem wilczura. Szedł jak strzelił na sztych na Tomasza. Wzrok swój ześrodkowałem na wilku i na Tomaszu. Lecz o dziwo! Tomasz zda się nie dostrzegał wilka. Ma go już na 20 kroków — nie strzela, na dziesięć — nie strzela, na pięć, dosłownie na pięć — nie strzela. Myślę, szybko myślę, prędzej niż można opowiedzieć — co się stało? Tomasz stoi za sosenką, która mu zasłania widok, nie widzi wilka. Co robić? Krzyknąć? Gwizdnąć? Ręką wskazać? — No, to wilk przepadł. Śmignie błyskawicznie w bok, i żadna kula go nie dogoni. Mógłbym ostatecznie nawet rąbnąć w niego, dystans nie jest tak bardzo daleki, jakieś 70 metrów, ale jak będę wyglądał, gospodarzowi i najserdeczniejszemu przyjacielowi sprzątnąć z przed samego nosa wilka? Nie, to niemożliwe! Tego nie zrobię!

I raptem zrozumiałem, a raczej przed tym zobaczyłem, a potem zrozumiałem. Za suką, idącą truchtem, podążał galopem basior i mniej więcej koło sosny byłby ją dogonił. W tym momencie suka, omal że nie otarła o nogę myśliwego, przeszła już za niego w tył, basior był o 20 kroków przed Tomaszem. Huknął strzał i basior się zwinął, huknął drugi — suka, która tymczasem była się oddaliła o jakieś 30 kroków, rozpłaszczyła się na śniegu. D u b l e t ! I oba wilki padły w ogniu.

Jeszcze za światła zdążyliśmy zrobić zdjęcie. Wigilia smakowała znakomicie. Radośnie brzmiały kolendy przy akompaniamencie pianina.

Dukszty, 1928 r.

L. Hryncewicz

W. KIERWIŃSKI

KUROPATWA, JEJ POŻYTECZNOŚĆ I OCHRONA

Wśród szerszego społeczeństwa, a nawet wśród niektórych polujących, panuje zupełnie błędne mniemanie, jakoby kuropatwa żywiła się ziarnem zbóż i była szkodliwa dla rolnictwa. Tymczasem kuropatwa oddaje rolnictwu nieocenione usługi, stając w rzędzie najbardziej pożytecznych ptaków.

Zasadniczym pożywieniem kuropatwy są owady i nasiona chwastów. Tępi ona niebezpieczne szkodniki, jak: stonkę ziemniaczaną, błyszczkę jarzynówkę, wyrządzającą ogromne szkody w oziminach (niejednokrotnie przepadają), drutowce, larwy sprężyków, groźnych szkodników niszczących plantacje buraczane,



Koniec polowania *fot. Z. Kowalski*

młode zboża i ziemniaki, gąsiennice czopówki, niszczące rzepę ścierniskową itd.

Długoletnie obserwacje wykazały, że na obszarach gdzie kuropatwy z powodu jakichkolwiek kataklizmów (np. powódź) wyginęły, zauważono duże ilości drutowców, niszczących plantacje buraczane Można też twierdzić, że przyczyną nadmiernego pojawienie się stonki ziemniaczanej w 1947 r. był brak kuropatw, które w czasie zimy 1946/47 wyginęły na niektórych obszarach doszczętnie. Przykładów takich możnaby przytaczać wiele.

Poza tym kuropatwa niszczy muchy, ćmy, gąsienice, chrząszcze majowe i czerwcowe, drobne ślimaki, koniki polne, poczwarki mrówcze itd. oraz na równi z dzikimi kaczkami i bażantami, żywi się mięczakami, a z nich zwłaszcza błotniakami, przenoszącymi zarodki motylicy wątrobianej, groźnego pasożyta dla owiec, bydła i zwierzyny łownej.

Trudno wymienić wszystkie szkodniki, jakie kuropatwa tępi, ale wystarczają już wyżej wymienione, by zaliczyć ją do rzędu najpożyteczniejszych ptaków.

Niezależnie od tępienia owadów i ich gąsienic oddaje kuropatwa korzyści rolnictwu przez zjadanie nasion licznych chwastów.

Poza tymi korzyściami, może ona, przy odpowiedniej rozmnoży, być dostarczycielką smacznego mięsa a nawet stać się poważnym artykułem eksportowym.

Z tych wszystkich względów należałoby kuropatwę otoczyć specjalną opieką.

Zasadniczym celem Polskiego Związku Łowieckiego jest dbałość o hodowlę i ochronę zwierząt łownych a następnie regulowanie racjonalnego odstrzału, w zależności od stanów ilościowych. Między rolnictwem a łowiectwem powinien istnieć ścisły związek. Od współczesnego rolnika powinno się wymagać znajomości zwierzyny, którą winien ochraniać i bronić przed drapieżnikami i kłusownikami a przede wszystkim powinien on otoczyć opieką kuropatwę, niedocenianą przez szerszy ogół.

Kuropatwa łatwo się rozmnaża (znosi około 18 jaj), więc hodowla jej jest łatwa. Najgroźniejszymi jej wrogami są:

1) ostre i śnieżne zimy: gruba skorupa zmarzniętego śniegu uniemożliwia kuropatwie odgrzebanie pożywienia; środkiem zaradczym na to jest oszuflowywanie takich kawałów pól, które przyniosą kuropatwie pożywienie, a na których brak pokrywy śnieżnej nie wyrządzi szkody rolnictwu;
2) rozpanoszone i bezmyślne wnykarstwo, wyłapywanie do ostatniej sztuki wygłodniałych i osłabionych ptaków; jest to barbarzyńskie mordowanie nieszczęśliwych stworzeń, bez właściwej korzyści zdobywania przez człowieka mięsa, gdyż kuropatwa jest raczej przysmakiem, a wychudzona zimą traci nawet ten walor;
3) choroby drobiu domowego, którymi zarażają się kuropatwy przez wywożony w pole zakażony nawóz: w czasie epidemii kuropatwy giną masowo,
4) bezmyślne niszczenie gniazd.

Polski Związek Łowiecki, mimo usilnych starań, nie jest w stanie zapewnić należytej ochrony kuropatwie bez udziału organów oświatowych i odpowiedniej propagandy wśród społeczeństwa wiejskiego.

Propaganda i uświadamianie społeczeństwa wiejskiego powinny iść w kierunku przeciwdziałania wnykarstwu, ochrony gniazd i konieczności podkarmiania kuropatw w czasie śnieżnych zim.

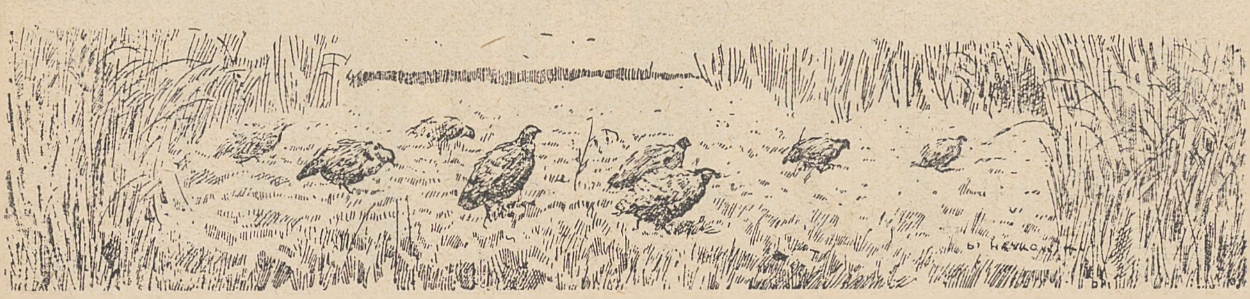
Ponieważ element wnykarski rekrutuje się przeważnie z pośród młodzieży, więc ważny głos będzie miało szkolnictwo wiejskie.

Dla ułatwienia kuropatwom przetrzymania śnieżnych zim, należałoby zorganizować podkarmianie ich. Najodpowiedniejszą karmą jest poślad i to możliwie z największą domieszką nasion chwastów. Podawanie karmy powinno się dokonywać w miejscach starannie wybranych, zacisznych, ażeby nie była zasypywana przez śnieg.

Na zakończenie warto wspomnieć o polowaniu na kuropatwy. Wykazując tak duże zalety kuropatw mogło by się nasunąć pytanie, po co więc polować na kuropatwy? Okazuje się jednak, że jest to konieczne. Kuropatwy w przestrzelanych stadach lepiej się rozmnażają, rozbite stada często łączą się z innymi rozbitymi stadami, a to wpływa dodatnio na odświeżanie krwi; kuropatwy ostrzelane stają się ostrożniejsze, przez co unikają wielu niebezpieczeństw; wśród kuropatw jest zawsze przewaga kogutów, zmniejszenie ich ilości wpływa dodatnio na rozmnożę; zagęszczenie w stadach sprzyja chorobom.

Kończąc powyższe szkicowe uwagi o pożyteczności kuropatw, należy nadmienić, że było by rzeczą nad wyraz wskazaną, by uwagi te były za pośrednictwem stowarzyszeń łowieckich i łowczych powiatowych Polskiego Związku Łowieckiego rozpowszechniane wśród szerszej braci myśliwskiej, zwłaszcza ze wsi, i by głos o pożyteczności i ochronie kuropatw trafił do szkoły wiejskiej i miejskiej oraz do ogółu rolników starszego i młodszego pokolenia.

W. Kierwiński



L. PAC-POMARNACKI

JEŻYNY JAKO PASZA DLA SARN

Coraz częściej praktykowane dziś w całej Polsce dokarmianie zwierzyny zmusza hodowców do wyboru rodzaju karmy taniej i praktycznej a przy tym chętnie przez zwierzynę przyjmowanej, karmy, która by nie obciążała zbytnio budżetu gospodarki łowieckiej a jednak dała przy stosowaniu niewątpliwe korzyści.

Rzecz prosta, iż nie może być mowy o wynalezieniu jakiejś paszy uniwersalnej, którą by spożywały z zadowoleniem wszystkie gatunki zwierząt, bo posiadają one bardzo różnorodne gusty i wymogi. Można więc tylko dobrać paszę odpowiednią dla danego rodzaju zwierzyny, inne zaś jedynie ubocznie będą z niej korzystały, poszukując w łowisku czegoś innego.

ne, tymczasem wartość ich jako paszy zielonej dla zwierzyny płowej a więc jeleni i sarn — jest ogromnie duża, toteż zamiast niszczenia należało by raczej pomyśleć o jej zasadzeniu, zwłaszcza tam, gdzie wymieniona zwierzyna nie należy do rzadkości, a z powodu lichej gleby uprawa innych roślin pokarmowych nie udaje się.

Jak niejednokrotnie zaobserwowałem, jelenie, a szczególnie sarny, chętnie zjadają liście jeżyn nawet w lecie, gdy mają przecież w bród innego pożywienia. Wygłodzone po rui kozły trzymają się właśnie najczęściej zagajników, obfitujących w tę roślinę i stale na niej żerują, zwłaszcza w borach sosnowych, ubogich w runo leśne.



Łanie przed linią *fot. W. Puchalski*

Przy dokarmianiu, zwłaszcza w okresie zimowym, dominującą rolę odgrywają pasze zielone, nieodzownie potrzebne organizmowi zwierzęcia do zrównoważenia ilości składników pokarmowych i utrzymania koniecznych norm, które dzięki jednolitości zimowego pożywienia, rzadko kiedy bywają zachowane. Każdy hodowca wie doskonale z własnego doświadczenia, że zwierzyna karmiona stale jednym i tym samym pożywieniem wkrótce zaczyna chorować, zwłaszcza w zimie, gdy knieja nie może jej dostarczyć potrzebnej paszy zielonej. Na temat właśnie takiej paszy zielonej, łatwej do zdobycia nawet i w zimie, będę poniżej pisał.

Przez bardzo wiele osób jeżyny są uważane za uciążliwy chwast i dlatego starannie w lasach tępio-

Ale jeszcze większym powodzeniem cieszą się jeżyny w okresie zimowym. Niech no tylko wyjrzy spod śniegu para zielonych nieopadłych listków — już zaraz dookoła znajdziemy mnóstwo tropów i śladów żerowania, a o ile kępa jest duża — sarny będą powracać w to samo miejsce przez kilka dni z rzędu. W czasie tym każda zielona „nowalijka" jest przez nie witana radośnie — jednak jeżynom oddają zawsze pierwszeństwo, zapewne dla ich dużych wartości odżywczych, ludziom bliżej nie znanych.

Jeżyny do późna zachowują liście i często się zdarza, że spadłe nagle śniegi pokrywają białą powłoką krzaki jeżynowe, pod którą to powłoką liście konserwują się bardzo długo, prawie do wiosny, a tym samym dają zwierzynie możność zdobycia zielonej pa-

szy w tym czasie, w którym jest ona najbardziej jej pozbawiona.

Do głównych zalet jeżyn należy i to, że rosną one dobrze na wszelkiej glebie, nawet na najbardziej ubogiej i dlatego mogą być sadzone w każdym łowisku bez wyjątku. W okresie owocowania, to jest w końcu sierpnia i na początku września, zaopatrujemy się w odpowiednią ilość dojrzałych jagód, z którymi wyruszamy do lasu na sadzenie. Ze względu nato, że jeżyny bardzo się rozrastają — nie należy ich zasadzać na polanach czy zrębach, gdyż zagłuszają tam wszelką inną roślinność. Wybierać trzeba na ten cel inne miejsca — nieużytki, jak np. linie oddziałowe, wały i nasypy, remizy polne dla zwierzyny, piaszczyste pustkowia itp. Tutaj zwykłym patykiem robimy dołki głębokie na 3 cm i włożywszy do nich po jednej jagodzie, zadeptujemy je butem. Sadzić jeżyny należy kępami, tj. 20 — 40 jagód w odstępie pół metrowym jednej jagody od drugiej. Następną kępę zasadzamy nie bliżej, niż 10 m od pierwszej. Ma to na celu możność dalszego rozrastania się kęp oraz w czasie żerowania sarn umożliwia dostanie się do paszy sztukom słabszym, które z reguły bywają odpędzane od żerowiska przez mocne kozy i rogacze. Sadzić jeżyny należy możliwie jak najbliżej ostoi sarn.

Jesienią — przed spadnięciem śniegu — należy obejść dokładnie rewir i zaznaczyć na pobliskich drzewach miejsca, w których rosną większe połacie jeżyn. Znaczyć najlepiej przez zaciosanie siekierką pnia i oznaczenie zaciosu numerem porządkowym, wypisanym przy pomocy kopiowego (chemicznego) ołówka. W podręcznym notesie notujemy zaraz zarejestrowane kępy jeżyn i ich odległość w krokach od zaciosanych drzew. Zabieg ten jest konieczny z tego względu, że w zimie trudno jest odnaleźć szybko pod grubą warstwą śniegu właściwe miejsce.

Sam sposób „przygotowania" jeżyn, jako paszy dla sarn, jest bardzo prosty. Małymi sankami, zaprzęgniętymi w pojedyńczego konia, objeżdża strażnik łowiecki lub gajowy kilka partii lasu i w każdej z nich, przy pomocy drewnianych grabi, oczyszcza dokładnie daną kępę jeżyn ze śniegu, tak by trzymające się jeszcze krzaków listowie było dobrze widoczne. Na tym polega cała jego funkcja. Nie należy tylko robić tego codziennie, gdyż wówczas w ciągu paru tygodni zużylibyśmy cały zapas jeżyn. Odkrywać krzaki trzeba dość rzadko, w zależności od ich ilości w łowisku, w każdym razie nie częściej niż raz na tydzień. Jeżyny bowiem nigdzie nie rosną w takiej obfitości, by mogły stanowić podstawę zimowego pożywienia sarn, są one raczej tylko przystawką do jadłospisu, złożonego z innych dań, ale jako pasza zielona — przystawką bardzo ważną.

Oczyszczanie kęp ze śniegu winno odbywać się wieczorem, mniej więcej na 2 godziny przed zachodem słońca i oczywiście w dnie pogodne, gdy nie zachodzi obawa ponownego zasypania jeżyn przez panującą zadymkę lub ścielący się śnieg, najlepiej w okresie mroźnych, księżycowych nocy, w których zwierzyna żeruje najchętniej. Gdy stwierdzimy po tropach, że sarny były na jeżynach, do których będą normalnie powracały w ciągu paru nocy — za kilka dni oczyszczamy drugi krzak, znajdujący się w pobliżu pierwszego, po tym trzeci i w ten sposób prowadzimy zwierzynę aż do ostatniego w tym rewirze. Przy takim postępowaniu mamy pewność, że odsłonięta karma będzie istotnie zużyta przez zwierzynę zaraz po jej odkryciu, a nie zmarnuje się bezzużytecznie na mrozie.

Obfitość jeżyn w kniei nawet w lecie ma duże znaczenie dla hodowli zwierzyny. Pierwsze lata powojennej gospodarki leśnej zalesiły w ogromnej większości zręby i nieużytki sosną, stwarzając wszędzie obszary czystych borów sosnowych, stanowiących dla racjonalnej hodowli łowieckiej warunki wielce niepomyślne. W borze takim, pozbawionym niemal całkowicie podszycia liściastego, a nawet i runa — jeleń czy sarna nie może zdobyć potrzebnego pożywienia i rusza na poszukiwanie jego na dość odległe pola, czyniąc w nich dotkliwe szkody lub w ostateczności spałuje i objada zawzięcie kulturę, byle tylko zaspokoić głód.

Alarmy na temat niszczenia kultur i młodników przez zwierzynę płową są dziś w prasie leśnej i łowieckiej na porządku dziennym, aczkolwiek nie zawsze bywają słuszne. Wystarczy bowiem o świcie przejść przez las, by stwierdzić, że ową „zwierzyną" są najczęściej gromady bydła włościańskiego, stale pasące się w kulturach, gdyż o tej porze rzadziej zagląda tam gajowy, a jak wiadomo w kulturach przecie rośnie najbujniejsza trawa. Nierzadko spotka się też i krówki gajowego lub nawet pana leśniczego, bo... pastuszkowie zajęli się czymś innym. Jednak w razie lustracji inspektora — winę oczywiście zwala się na zwierzynę, bo to najwygodniejsze. Sarny i jelenie czynią szkody — to prawda, nie robią ich jednak tak wiele, jak się o tym pisze w protokołach z inspekcji i w prasie.

Widziałem parokrotnie w borach jak sarny gromadnie odwiedzały kępy jeżyn i raczyły się ich liśćmi, choć w pobliżu rozprzestrzeniały się rozległe młodniki sosnowe. Badałem specjalnie te młodniki i poza kilku znakami wycierania parostków przez rogacze — nigdzie nie stwierdziłem spałowania. Z tego widać jasno, że sarny nie przepadają bynajmniej za korą i igliwiem sosny, a żywią się nimi w ostateczności — z głodu. Jeżeli więc dopomożemy im w zdobywaniu pokarmu — szkody w kulturach zmaleją wybitnie.

Sadzenie jeżyn nie zastąpi co prawda półek łowieckich ani paśników, zaopatrzonych w paszę treściwą. Przyczyni się ono jednak do zapewnienia zwierzynie niezbędnej ilości paszy zielonej, zarówno w okresie letnim, jak i w zimie a co najgłówniejsze — zmniejszy znacznie rozmiar szkód w lesie i na okolicznych polach włościańskich. A że jest tak mało kłopotliwe i nie pociąga za sobą prawie żadnych nakładów pieniężnych — przeto zasługuje w zupełności na jak najszersze zastosowanie i rozpowszechnianie.

L. Pac Pomarnacki

HARMONIA I ZGRZYTY

Nie ma róży bez kolców — mówi stare przysłowie. I polowanie, ta bodaj najmilsza ze wszystkich rozrywek, może czasem stać się źródłem poważnych przykrości. Nie będą tu kolcami trudy i niepowodzenia łowieckie. Można wrócić z niczym po uciążliwym podchodzeniu głuszca, można pudłować raz po raz, zwłaszcza, gdy pech prześladuje. Nic to. Obcowanie z piękną przyrodą, humor towarzyszy łowców, który choć się czasem skrupi na naszej własnej sórze — wnosi jednak radość i wesele w duszę, że wraca się do domu w pogodnym nastroju. Kolcami i przykrością łowów nazwałbym jedynie towarzystwo niezgrane w polowaniu, a czasem obecność tylko jednego osobnika, który postępowaniem swym wnosi zgrzyt.

Nie dziwię się takim łowcom, którzy wolą samotnie polować, tym nie grożą żadne przykrości. Nie dziwię się i tym łowcom, którzy dowiadują się zawczasu z kim się mogą spotkać na polowaniu i raczej rezygnują z polowania w najpiękniejszych terenach łowieckich niż zaryzykują spotkanie z panem X. A nuż przekorny los postawi tego osobnika na sąsiednim stanowisku? Wtedy prysnąć może cały urok polowania.

Jeśli poruszam ten dość przykry temat, jeśli przytaczam dalej szereg przykładów, to tylko dlatego, aby ci nieliczni myśliwi, psujący nastrój radosny, zastanowili się i opanowali swe nazbyt wybujałe żądze zdobycia łupu wbrew wszelkiej etyce łowieckiej. Możemy wszcząć dyskusję co do słuszności praw pierwszej kuli i ostatniego śrutu — sam uważam, że nieraz trzeba stwierdzić celność strzałów obu myśliwych lub wysłuchać opinii pewnych świadków. Ale między innymi celami postawmy jeszcze jeden — wychowanie łowieckie, zwłaszcza początkujących nemrodów. Usuniemy wtedy tę najgorszą bolączkę — kolce polowań. Jeśli ten środek zawiedzie — to pozostanie tylko wyjście ostateczne: ustalenie sankcji karnych wobec opornych strzelców. Oby do tego nie doszło!

Najgłówniejsze przykazania łowieckie, z którymi wszyscy myśliwi winni sie dobrze zapoznać, podał J. Sztolcman w kalendarzu myśliwskim na rok 1939, na stronie 75. Przytoczę niektóre punkty z przepisów ogólnych:

4. W stosunku do innych myśliwych — mieć zasadę nie czyń drugiemu co tobie nie miło, a zatem:

5. Nie strzelać sąsiadowi pod jego stanowisko.

6. Nie zabierać sąsiadowi zwierzyny, gdy silnie zestrzeloną, nieraz ledwie czołgającą się, dobijemy.

7. Nie strzelać w miocie grubego zwierza lub lisa, gdy mamy strzał bardzo niepewny — psujemy wtedy nieraz sąsiadowi okazję do strzału.

8. W razie wątpliwej spółki — kierować się bezstronnością i być zawsze skłonnym do ustępstw. Harmonia więcej warta na polowaniu od zdobytej sztuki, a zbytni upór w kłótniach myśliwskich jest przeważnie cechą fuszerów, (należało by dodać — i wstrętnych chciwców).

Przykazania jasne, proste, słuszne. Ale jak się sprawy przedstawiają w rzeczywistości?

Weźmy najpierw parę przykładów z literatury łowieckiej. W powieści Weyssenhoffa „Soból i Panna" znajdujemy np. takie przykłady: przyznano Hrebnickiemu po długich sporach dzika, strzelonego wspólnie z Liebem, jedynie na mocy nieubłaganego prawa pierwszej kuli. Hrebnicki przeszył dzikowi szynki, Liebe zaś zwalił go strzałem na komorę. Hrebnicki miał niezaszczytne i powiedzmy wprost — niezasłużone trofeum, Liebe zaś nosił głęboką urazę w sercu. Następne polowanie na bażanty znów obfitowało w takie zgrzyty. Dwaj bracia Hrebniccy, stojący z dwóch stron myśliwego Rajeckiego, odstrzelili mu zdobycz z przed nosa. Rajecki, skądinąd myśliwy bardzo kulturalny, odwzajemnia się tym samym. Do zestrzelonego przez niego i spadającego koguta strzela Hrebnicki, a na uwagę Rajeckiego, że do nieboszczyków się nie strzela, odpowiedział: ostatni śrut.

A działo się to na reprezentacyjnym polowaniu, gdzie zbierała się elita strzelców.



Przejazd na stanowiska

Takich wypadków spotykamy wiele i we własnych wspomnieniach. Pamiętam np. takie zdarzenie sprzed szeregu lat. W nadleśnictwie M. nad Niemnem jeden myśliwy strzela dwa razy do kota — oba strzały celne — po drugim strzale kot wprost się wlecze poza jałowcami, podchodząc pod następne stanowisko, gdzie sąsiad myśliwy strzela i zabiera zdobycz, którąby i bez strzału mógł podjąć ręką. Pamiętam niesmak, jaki wzbudził w nas ten postępek.

Inny przykład, którego byłem świadkiem w tym samym nadleśnictwie M.

Stanowiska wzdłuż drogi w lesie rzadkim i bez podszycia. Lis idzie na jednego z myśliwych. A, ten strzela raz, po strzale lis zaskowyczał, ale zwraca w bok i pędzi wzdłuż linii. Strzelec nie poprawia. Lis przebiega przed stanowiskiem drugiego myśliwego B. Ten strzela i lis pada w ogniu. Po miocie A. występuje z pretensją, że lis jemu się należy, bo był pewny, że lis padnie zaraz i dlatego nie poprawiał. Oględziny lisa wykazują, że A. wystrzelił mu jedną śruciną oko, B. zaś strzałem do boku — lisa położył. Naganka i sąsiedzi, którzy mogli obserwować całe zajście, stwierdzają, że lis powinien być jemu przyznany. Kilku z myśliwych zaczyna nalegać na B., by zgodził się na losy. Sytuacja robi się bardzo ciężka i nieprzyjemna. Wreszcie

B. oświadcza: „Stwierdzam, że lisa zabiłem prawidłowo, pomimo wybitego oka lis by uszedł. Pan A. miał dosyć czasu, by lisa poprawić przed swoim stanowiskiem — a jeśli tego nie uczynił, to jego błąd. Los nie daje żadnej rękojmi słusznego załatwienia sprawy. Zeznania świadków, prawo „ostatniego śrutu“ i prawo „przed kim trup — tego łup“ — wszystko przemawia na moją korzyść. Jeśli mimo to uznacie, że należy ciągnąć losy, to ponieważ poluję stale w waszym towarzystwie — zastosuję się do waszej decyzji. Sam losów ciągnąć nie będę“.

Po burzliwej debacie przeszło małą większością głosów losowanie — uważam dotychczas, że stronnie i niesłusznie. A. ciągnie los i wyciąga węzełek, oznaczający zdobycz. Polowanie skończyło się przykrym zgrzytem: A. zdobył niezasłużone trefeum, B. okazał się gentlemanem, bo miał prawo nie zgodzić się na żadne losy — ale to go skrzywdziło.

Zespół myśliwych rozbił się na dwie grupy. A. czuł, że nie jest w porządku, zaproponował B. dwa czy trzy koty jako rewanż. Tamten oczywiście propozycję odrzucił.

Z chwilą, gdy na dalszych polowaniach zdarzyło się, że spotykali się znowu ci sami strzelcy — pryskała wesołość, psuł się nastrój, humor nie dopisywał i polowanie traciło swój urok: atmosfera była wciąż ciężka, naprężona. B. miał wciąż głęboką urazę i wreszcie odsunął się zupełnie od tego towarzystwa myśliwskiego. Niestety, miał rację.

Przejdźmy teraz do innych polowań. Polujemy w zimie w okolicach Czyżewa. Kot idzie na mnie, lekki postrzał, drugi strzał ciężko rani zwierza. Kot zbliża się ku drugiemu myśliwemu, ten wykańcza go i zwraca mi go po miocie ze słowami: „kot należy do pana i tak padłby najwyżej po kilkudziesięciu krokach“.

Drugi dzień tych polowań, miot leśny. Kot wyskakuje na mnie. Pierwszy strzał — pudło, drugi strzał celny, kot ciężko trafiony cofa się w miot. Po paru chwilach strzał przed trzecim stanowiskiem. Po miocie myśliwy, który strzelał ostatni, śmiejąc się podchodzi do miejsca zbiórki: „patrzcie, jednym strzałem położyłem dwa koty“. Po czym zwraca mi jednego, mówiąc że doczołgał się przed jego stanowisko i tam padł. Ten myśliwy był na tyle etyczny, że do nieboszczyka nie strzelał i nie przywłaszczył sobie zdobyczy na mocy „ostatniego śrutu“.

Jeszcze inne polowanie w Ochonie pod Pińskim. Miot polny. Kot mija jednego ze strzelców, ten strzela dwa razy i rani go drugim strzałem już poza linią, która leży prawie na granicy terenu łowieckiego. Kot idzie dosyć szybko, ale niepewnie. Sąsiad strzela i kot ruluje. Po miocie drugi strzelec jednak zwraca zdobycz pierwszemu myśliwemu, twierdząc, że kot prawdopodobnie padłby wkrótce sam, zaś strzelił dlatego, zeby kota nie wypuścić za granicę terenu; do zdobyczy nie rości pretensji. Zaczyna się teraz certowanie wręcz odwrotne, obydwaj myśliwi są gentelmenami i jeden drugiemu ustępuje zdobycz. Zdecydowali wreszcie, że ten kota weźmie, który mniej ich zastrzelił. Sprawa się zakończyła zgodnie i wesoło.

Które polowania są milsze — to nie ulega kwestji. I czy wszystkim polującym nie jest przyjemniej polować w takim towarzystwie, którego członkowie są subtelni i etyczni niż w towarzystwie gruboskórców i chciwców. Takich właśnie etycznych myśliwych musimy wychować. Kto będzie polował zbiorowo, można mu tylko życzyć, by trafił na takie właśnie miłe i zgrane towarzystwo.

W. Dmowski

LUCJAN CZERWIŃSKI

ŁOWCZY POWIATOWY – PŁATNYM URZĘDNIKIEM

Mam wrażenie, że nie dużo zbłądzę, jeśli powiem, iż obecna działalność łowczych powiatowych ogranicza się niemal wyłącznie do załatwiania sporej ilości korespondencji, inkasowania składek członkowskich na rzecz Polskiego Związku Łowieckiego, zwoływania od czasu do czasu zebrań powiatowej rady łowieckiej lub walnych zgromadzeń członków P. Z. Ł., do udzielania wszelkiego rodzaju informacji myśliwym lub kandydatom na myśliwych, występowania czasami na zebraniach w charakerze oficjalnym i to — bodaj wszystko. Piecza nad hodowlą i zdrowiem zwierzyny, propaganda łowiectwa, zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa, a więc najważniejsze zadania łowczych powiatowych, leżą przeważnie odłogiem lub spełniane bywają tylko przy okazji innych czynności, nie zawsze związanych z łowiectwem.

Cóż jest przyczyną takiego stanu rzeczy? Może niezrozumienie przez łowczych potrzeb lepszego wykonywania swoich obowiązków?

Nie! Przyczyną jest zgoła co innego.

Łowczowie — to przeważnie urzędnicy, więcej lub mniej przywiązani do swych foteli urzędowych, bądź przedstawiciele wolnych zawodów, bądź wreszcie nieliczna „inicjatywa prywatna“. Wszystko to ludzie w większości wypadków tak zaabsorbowani pracą zawodową, że częste bywanie w polu, bez czego przecież trudno jest należycie obowiązki łowczego wykonywać, jest dla nich prawie niemożliwe.

Pozwolę sobie przytoczyć taki oto wypadek. Jestem na polowaniu, w czasie którego naganka znajduje martwego warchlaka. Ponieważ o fakcie tym dowiaduję się zbyt późno, a w ciągu najbliższych dni nie mogę ruszyć się z biura — sprawa na tym się kończy. A czyż nie należało było dokonać tu sekcji i przedsięwziąć środki zaradcze w razie stwierdzenia choroby zakaźnej?

A oto drugi przykład. Dowiaduję się, że dzieci z pewnej wioski, położonej w okolicach bagnistych, urządzają wiosną całe wyprawy po jaja dzikich kaczek. Wyprawy te, niestety, dają niekiedy tak poważne rezultaty, że jaja znoszone są całymi koszami, choć grubo nie wszystkie nadają się już na jajecznicę. Ponieważ informator mój nie wskazuje przestępców z imienia i nazwiska, przeto nie wiem przeciwko komu skierować dochodzenie i sprawa usypia. Czyż w tym wy-

padku łowczy nie powinien był jechać do owej wsi, przeprowadzić osobiście dochodzenie przedwstępne, by potem móc oddać sprawę w ręce Milicji Obywatelskiej, a przy okazji wygłosić pogadankę na temat: „Dlaczego nie należy niszczyć gniazd pożytecznych ptaków?"

Podobnych przykładów można by przytoczyć całą litanię, a wszystkie one wskazywałyby na to, że dla podniesienia pracy łowczych na właściwy poziom jest jedno tylko wyjście, a mianowicie: łowczy powiatowy winien być urzędnikiem płatnym, przez Ministerstwo Administracji Publicznej, czy też przez Ministerstwo Leśnictwa, czy wreszcie przez jakąś instytucję lub stowarzyszenie, chociażby przez Polski Związek Łowiecki. Tylko wówczas będzie mógł łowczy poświęcać odpowiednią ilość czasu sprawom łowieckim, a związany z nimi ściśle będzie mógł skutecznie propagować ideę łowiectwa wśród szerokich mas społeczeństwa, będzie mógł współpracować z władzami w zakresie zwalczania przestępstw łowieckich, będzie mógł współdziałać w akcji zwalczania chorób zwierząt łownych, które to dziedziny są obecnie w całkowitym niemal zaniedbaniu.

A dalej. Taki łowczy — urzędnik mógłby załatwić również sprawy, należące dawniej lub obecnie do kompetencji odnośnych referentów starostw (rejestracja terenów łowieckich, wydawanie kart łowieckich), współpracować z Urzędem Bezpieczeństwa w sprawie wydawania pozwoleń na broń myśliwską, zająć się zorganizowaniem skupu i eksportu zwierzyny itd., itd. A gdyby do tych obowiązków dodać jeszcze tak ważne zadania jak: uświadamianie społeczeństwa, a głównie młodzieży, dlaczego ochraniać należy zwierzęta łowne oraz jak ważną dziedziną gospodarki narodowej może i powinno być łowiectwo w Polsce, to mam wrażenie, że pracy takiemu urzędnikowi na pewno by nie zabrakło. Można by wreszcie do jego obowiązków włączyć jeszcze sprawy rybackie lub ochrony przyrody, kwestie te jednak są mi mniej znane, a przeto głos w tej materii pozostawiam osobom, którym bardziej leżą one na sercu.



Na straży . . . *fot. J. Żak*

Ja chciałbym wywołać tylko dyskusję nad sprawą „zawodowości" łowczych powiatowych i ewentualnie wojewódzkich, którzy, jak to zaznaczyłem na wstępie, nie są w możności spełniać swej roli tak, jak tego chcieliby i oni sami, i niewątpliwie władze, które ich na te stanowiska powołały.

Sprawa zdaje się być warta przemyślenia i skierowania na właściwe tory.

Mława, listopad 1948 r.

Lucjan Czerwiński
Łowczy na powiat mławski.



STEFAN WIKTOR

Co każdy myśliwy wiedzieć i czego przestrzegać powinien

Zachowanie się myśliwego podczas polowania świadczy zawsze o jego wyrobieniu. Nieodpowiednie zachowanie się na stanowisku czy podczas podchodu, nieumiejętne obchodzenie się z bronią, będzie zawsze powodem niepowodzenia łowów. Przytomność umysłu. szybka orientacja i decyzja w każdej sytuacji, wielka doza cierpliwości, spokój i opanowanie, to cechy dobrego, poprawnego myśliwego. Zalety te nabywa się przez teoretyczną znajomość zasad łowieckich, a przede wszystkim przez wieloletnią praktykę w kniei.

Podaję poniżej przykazania myśliwskie, których się każdy myśliwy trzymać i przestrzegać powinien, aby uzyskać miano poprawnego łowcy. Zebrałem je z prac naszych pisarzy łowieckich, jak Sztolcman, Korsak, Kowalski, Gieysztor, Mniszek-Tchorznicki i inni.



Tropy niedźwiedzia
fot. J. Bleszyński

1) Terminów polowania i ochrony, prawem łowieckim określonych, trzeba jak najskrupulatniej się trzymać; można opóźniać początek czy skrócić termin polowań, nigdy odwrotnie.
2) Należy mieć zawsze przy sobie na polowaniach potrzebne dowody, tj. pozwolenie na broń i kartę łowiecką, by móc się w razie potrzeby legitymować w każdej chwili.
3) Nie przekraczać nigdy z bronią w ręku cudzej granicy.
4) Broń zawsze utrzymywać w porządku, po każdym polowaniu wyczyścić i odpowiednio konserwować, unikać niepotrzebnego jej zamoczenia, wozić broń w futerale.
5) Z nabitą bronią obchodzić się uważnie, zachowywać jak największą ostrożność, by nie spowodować nieszczęśliwego wypadku.
6) Nigdy, nawet gdy jesteśmy przekonani, że broń jest nienabita, nie zwracać jej wylotami lufy w stronę ludzi, albo w ich stronę mierzyć.
7) Wszędzie i zawsze nosić broń lufami do góry.
8) Przed każdorazowym wsiadaniem na wózek lub sanki zbadać zawsze czy ładunki są wyjęte z lufy.
9) O ile możności unikać pożyczania broni znajomym, a jeżeli to jest nieuniknione, to tylko takim, którzy ją będą odpowiednio szanowali.
10) Gdy stajemy na stanowisku, należy nabić broń, ale jej nie odbezpieczać, zbadać miejsca, skąd mogą być najlepsze strzały i gdzie stoją sąsiedzi.
11) Gałązki, utrudniające na stanowisku dobry strzał, można czasem wyciąć, jednakowoż cięcia tego nie należy przedłużać, ale dokonać go ostrożnie i cicho, gdyż inaczej możemy spłoszyć ruszonego przez zachodzącą nagankę zwierza.
12) Nie opuszczać przed pędzeniem stanowiska dla rozmowy z sąsiadem, szczególnie, gdy w miocie jest spodziewany dzik lub lis.
13) Na stanowisku stać nieruchomo, spokojnie, kręcenie się może nie tylko sobie, ale i sąsiadom spłoszyć zwierzynę.
14) Podczas pędzenia uważać nieustannie na wszystkie strony. Gdy zwierz idzie na sąsiada, pilnować go, lecz jednocześnie patrzeć i przed siebie.
15) Prócz tego, co dzieje się w miocie, obserwować sąsiada, gdyż jego zachowanie się i ruchy mogą nas często ostrzec o zbliżającym się zwierzu.
16) Nie opuszczać stanowiska tak długo, dopóki nie przekonamy się, że cała naganka wyszła z miotu na linię strzelców.
17) Gdy naganka zbliży się na odległość 80—100 kroków do linii strzelców, nie strzelać więcej w miot, lecz zwierza przepuścić i strzelać na lub za linię.
18) Nigdy nie strzelać do żadnego zwierza, dopóki się go dokładnie nie rozpoznało.
19) Wystrzegać się niepewnych strzałów w miot, bo nie tylko sobie, ale i sąsiadom psujemy okazję.
20) Słuchać bezwzględnie rozporządzeń prowadzącego polowanie, o ile nie zaleca czegoś przeciwko etyce łowieckiej.
21) Na polowaniach w kotłach nie wybiegać przed linią, nie robić gruszek, nie przysiadać.
22) Przy schodzeniu ze stanowiska wyjmować bezwarunkowo i zawsze naboje z broni.
23) W stosunku do kolegów myśliwych trzymać się zasady: „nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło".
24) Nie strzelać do zwierzyny, idącej na stanowisko sąsiada.
25) Nie przywłaszczać sobie zwierzyny, zastrzelonej przez sąsiada, a przez siebie dobitej.
26) W razie sporu o strzał, kierować się zawsze skłonnością do ustępstw i bezstronności. Zgoda i harmonia na polowaniu są więcej warte niż zdobyty zwierz. Przesadny upór i sprzeczki są przeważnie cechą fuszerów.
27) Strzelać tylko wtedy, gdy jest szansa zabicia.
28) Dostrzelić zawsze każdego zwierza, gdy raniony męczy się przed naszym stanowiskiem.
29) Nie strzelać do żadnej grubej zwierzyny śrutem lub loftkami, tj. do łosi, jeleni, danieli, dzików i ro-

gaczy. Wymaga tego poprawny sposób wykonywania polowania.

30) Unikać odstrzeliwania starych kuropatw od młodych.

31) Nie wybijać kuropatw do ostatniej sztuki w stadzie.

32) Nie strzelać w zimie kuropatw z podjazdu na śniegu.

33) Nie strzelać w kupę do zrywającego się stada, wybierać sztuki skrajne, aby nie kaleczyć niepotrzebnie zwierzyny.

34) Nie strzelać żadnego ptactwa na ziemi. Wyjątek stanowią dropie, cietrzewie i głuszce na toku i, naturalnie, wszelkie ptactwo postrzelone.

35) Nie strzelać ptactwa pływającego po wodzie.

36) Nie strzelać głuszców przed psem.

37) Nie strzelać zajęcy rano lub wieczór na wychodnego.

38) Nie wstydzić się nigdy pudła, bo to i najlepszemu myśliwemu się zdarza.

39) Z psem obchodzić się dobrze, kochać go, lecz trzymać go zawsze w pewnym rygorze.

40) Psa karać rzadko, ale stanowczo. Nie bić w gniewie i pasji, nie kopać i nie targać za uszy.

41) Pamiętać, by psu nie brakowało wody do picia w domu i na polowaniu.

42) Karmić psa 2 razy dziennie dobrze, lecz nie za obficie.

43) Utrzymać psa w czystości, kąpać przynajmniej raz na dwa tygodnie, a legowisko utrzymać w jak największym porządku.

44) Jadąc na polowanie wózkiem, nie pozwolić psu biec lecz wziąć go na wózek; takie niepotrzebne marsze przed polowaniem osłabiają psa, a kurz działa ujemnie na węch i oczy.

45) Gdy idziemy na polowanie lub z niego wracamy, nie pozwalać psu biegać po polu, lecz trzymać go przy nodze.

46) Psa nigdy nie pożyczać nikomu, gdyż łatwo może go zepsuć.

47) Tresować umiejętnie, nie przeciążać zbytnio tresurą, gdyż można psa zniechęcić; raczej powtarzać krótkie ćwiczenia parę razy dziennie.

Stefan Wiktor

JERZY BŁESZYŃSKI

SPRAWA MŁODZIEŻY

Sprawy stosunku młodzieży do łowiectwa poruszane są od czasu do czasu na łamach Łowca Polskiego, czasami na ten temat padnie kilka słów w okolicznościowych przemówieniach. Sądzę, że czas już, aby tą sprawą zająć się szerzej i głębiej, gdyż losy przyszłości łowiectwa zależą w dużej mierze od tego jak myśliwi — zorganizowani w PZŁ — ustosunkują się do tego zagadnienia.

Przy rozważaniu sprawy ustosunkowania się młodzieży do łowiectwa wyłaniają się dwa zasadnicze zagadnienia:

1. Wychowanie przyszłych myśliwych, to jest wyszukanie wśród młodzieży takiego elementu, który posiada pewne wrodzone kwalifikacje ku temu.
2. Zdobycie się na wysiłek, aby młodzież szkolną zaznajomić w ogóle z zasadami łowiectwa, to jest gospodarowaniem zwierzostanami.

Jak się dziś oba te zagadnienia przedstawiają?

Ujmując je razem, określiłbym je jednym zdaniem: przedstawiają się w formie „nie wolno". A więc: nie wolno niszczyć gniazd, nie wolno łapać młodej zwierzyny, nie wolno z psami włóczyć się po polach, nie wolno z małokalibrówek czy wiatrówek strzelać do wszystkiego i o każdej porze roku, nie wolno bawić się bronią ojca, nie wolno młodzieży samodzielnie polować, choć wolno chodzić w nagance. Ale dlaczego „nie wolno", to już sprawa bardziej zawikłana.

Czy my, jako myśliwi, zadajemy sobie trud np. odwiedzenia choćby raz do roku wiejskiej szkoły, uczęszczanej przez dzieci ze wsi, których grunty stanowią nasze łowiska, aby tam pogawędzić z dziatwą wiejską o ochronie przyrody i zwierzyny, aby jej wytłumaczyć dlaczego nie wolno niszczyć zwierzyny, lecz należy ją ochraniać?

Jużci trudno jest, aby takie tłumaczenie trafiło głęboko do przekonania młodzieży wiejskiej, jak długo polowanie jest uważane za pańską zabawę, nie zaś za część gospodarstwa narodowego. Łatwiej będzie nawiązać wspólne porozumienie, jeżeli zwierzynę będziemy uważali az dobro ogólne, za bogactwo narodowe, a łowiectwo za zbieranie pożytków z tego dobra, nie zaś samowolne i nieograniczone czerpanie z tego bogactwa. Łatwiej będzie wymagać, aby młodzież wiejska ochraniała zwierzynę, gdy wprowadzimy zasadę, że zbierane pożytki z tego dobra, którym jest zwierzyna, przypadają nie tylko myśliwym, ale i codziennym opiekunom zwierzyny. A to jest bardzo proste: należy wysokość czynszów dzierżawnych ustalać według ilości upolowanej zwierzyny.

Nie tylko młodzież wiejska winna być przedmiotem naszych zainteresowań. Jest jeszcze druga grupa młodzieży: młodzież miejska, młodzież wielkich zbiorowisk przemysłowych. I tutaj winni trafić myśliwi ze swoimi ideami. Dziś kilkunastoletni wyrostek, gdy tylko uda mu się dostać do rąk małokalibrówkę, a nawet wiatrówkę, stara się bez najmniejszego skrępowania wykorzystać posiadaną broń dla zabicia ptaka, zająca, nawet sarny, bez względu na porę roku. Pojęcie czasu ochronnego, ochrony przyrody, nie istnieje dla niego, bo często nie mogą istnieć. Coś się tam o uszy obiło, że „nie wolno", ale wytłumaczeniem tego dlaczego „nie wolno" — nikt się nie zajmuje. A kto ma się tym zająć, jeżeli nie my, myśliwi?

Już wielki czas, abyśmy nawiązali bliższe stosunki ze szkołami. Żywe słowo poparte fotografią, a co jeszcze lepsze filmem (a przecież mamy nieoceniony skarb w pracach kolegi Wł. Puchalskiego), powinno przynieść duże korzyści. Właśnie na tym odcinku winniśmy zacieśnić prace z „Ochroną Przyrody".

To wielkie dzieło wychowania, które stoi przed

nami, możemy spełnić, jeżeli zdołamy dokonać pewnych przesunięć wewnątrz, o czym już wspominałem: musimy wyjść ze stanowiska, że zwierzyna jest dobrem. bogactwem narodowym, a polowanie jest gospodarką tym dobrem, a nie pańską, kosztowną rozrywką.

A teraz sprawa dla nas nie mniejszego znaczenia. to jest przygotowanie narybku myśliwskiego. Sądzę, że nie popełnię błędu, jeżeli przyjmę, że dobrym myśliwym, dobrze znającym i rozumiejącym wszelkie sprawy związane z łowiectwem, może być tylko ten, kto bierze czynny udział w łowiectwie od wczesnej młodości.

Ten, kto bierze strzelbę do ręki dopiero wtedy, gdy zdobył jakie takie stanowisko, staje się myśliwym w swoim rozumieniu. Ale bez względu na wiek staje się on młodym myśliwym, a najczęściej bardzo młodym myśliwym. To nie jest element, na którym możemy budować przyszłość łowiecką. Proszę, aby owa grupa młodych myśliwych nie brało sobie do serca słów moich, jako obrazę. Nie mam najmniejszego zamiaru ani ochoty komukolwiek ubliżać. Ale tylko maleńki przykład: w ubiegłym sezonie jeden myśliwy drugiemu wsadził przypadkiem, upadłszy z nabitą bronią, kulę w szyję — szczęśliwie obeszło się bez wypadku miertelnego. Pytany, dlaczego miał broń nabitą po zejściu ze stanowiska, odparł: „Jestem czwarty raz na polowaniu a na wszystkich polowaniach moi koledzy nie wyjmowali naboi z broni po skończonych miotach". A byli to wszystko ludzie, zdawałoby się, dojrzali, a więc niemłodzi. Komentarze zbyteczne.

Musimy zatem przyszłych myśliwych pospiesznie wychować. Ale jak? Przecież nie tylko rzadkimi pogadankami w uczelniach niższego czy wyższego typu, ale musimy wyłowić pewną ilość młodzieży, posiadającej odpowiednie kwalifikacje wrodzone i nawiązać z tą grupą bliskie stosunki. A więc młodzież ta winna być uważana za kandydatów na członków PZŁ, brać udział w pracach organizacyjnych z prawem zabierania głosu, ale oczywiście bez prawa głosowania.

Młodzież ta winna otrzymywać bezpłatnie Łowca Polskiego i, co najważniejsze, winna brać udział w polowaniach bez ponoszenia kosztów. Gdyby każde kółko myśliwskie na dziesięciu czy piętnastu członków miało obowiązek mieć takiego kandydata w swoim gronie, któremu, zależnie od wieku, dozwolone było by uczestniczyć w polowaniach z bronią czy bez broni, to byłby wielki krok naprzód. Tacy kandydaci obowiązani byliby zbierać się od czasu do czasu, aby składać rodzaj sprawozdań czy egzaminów z nabytej wiedzy łowieckiej. Po okresie dwu- lub trzyletnim, po zdaniu egzaminu. zamieniliby się na wartościowych, pełnoprawnych członków PZŁ.

Sama chęć posiadania broni i zdobywanie dzikiego zwierza, nie powinna być wystarczającą kwalifikacją do przyjęcia jednostki w grono myśliwskie. Mają temu zapobiec wprowadzone egzaminy, ale mam pewne wątpliwości czy obecnie stosowana formułka daje wyniki. któreby pozwalały pozostawić ją niezmienioną na przyszłość.

Przyjmując spośród młodzieży kandydatów na myśliwych, należy, oczywiście, brać pod uwagę zarówno element miejski, jak i wiejski. Na ten ostatni element należało by może położyć specjalną uwagę. Wychowanie zastępów dobrych myśliwych z szeregów wiejskich może kapitalnie zaważyć na wartości łowisk polnych w przyszłości.

Dziś wieś jest niedostatecznie i niewłaściwie związana z zagadnieniem gospodarki łowieckiej, ale to już jest inne zagadnienie, które się tutaj jednak przy rozważaniach młodzieżowych nasunęło mimowoli.

J. Bleszyński



Z hodowli irlandów ś. p. Sznerra

ŁUDOMIR SMYCZYŃSKI

W SPRAWIE WYŻŁA POLSKIEGO

Zdanie, które zamieściłem na str. 48 i następnych mej książki o psach, a w szczególności, że wyżeł szorstkowłosy jest rodzimą polską rasą — wywołało w kołach myśliwych i kynologów pewne zastrzeżenia, a nawet zarzucono mi żartobliwie „szowinizm kynologiczny“.

Uważam przeto za swój obowiązek wyjaśnić sprawę samej nazwy Bechstein — autor niemiecki, w swojej encyklopedii łowieckiej (wyd. Gotha 1820 — 22) nazywa wyżła szorstkowłosego „Wasserhund“, „Polnischer Hünerhund“, lub „Niederländer“ i opisuje go w tych słowach:

„Pochodzi z Polski, jest krótszy i bardziej krępy niż długowłose psy na kury, ma silniejszą głowę, krótszy pysk, szerszy nos, krótsze uszy, szczególnie silną pierś i nogi oraz długi kędzierzawy włos, tworzący na uszach kosmyki, zwykle brązowy lub w białe łaty, albo też moręgowany. Z natury chętnie idzie do wody“.

Tak więc nazwę „polskiego“ wyżła nie ja wymyśliłem, lecz wskazuję na niemieckie źródła z czasów, gdy jeszcze Niemcy nie twierdzili, iż wszystko co dobre musi być niemieckie. Nie twierdzę też bynajmniej, że jest to pies wyłącznie polski, lecz wskrzeszając dawną nazwę, pragnąłem zachęcić polskie łowiectwo do żywszego zainteresowania się tą odmianą. Poza tym stwierdzić należy, że psy tego typu występują, względnie występowały na Bałkanach, a Czesi wyprowadzili własną wyrównaną i ładną odmianę, zwącą się „Cesky fousek“.

Tyle dla odparcia nieusprawiedliwionego zarzutu, iż przywłaszczyć chcę nazwę wyżła „polskiego“ bez należytych ku temu podstaw. Nie neguję też, lecz przeciwnie przyznaję, że wyżeł niemiecki szorstkowłosy jest udanym produktem niemieckiej hodowli.

Pragnąłbym jednak poddać pod dyskusję zainteresowanych kół myśliwych i kynologów, czy przy powojennej odbudowie hodowli psa myśliwskiego nie byłoby celowe nawiązać do dawnych tradycji i ustalić wzorzec (standart) polskiego wyżła szorstkowłosego, jako rasę samodzielną, dostosowaną do naszych warunków i odpowiadającą gustowi polskich myśliwych. Pragnałbym, aby na ten temat wypowiedzieli się doświadczeni hodowcy i nie chciałbym, aby poniższe uwagi były uważane za wskazówkę, lecz tylko za początek wymiany zdań na ten temat. W szczególności wyobrażam sobie, że z posiadanego materiału krajowych wyżłów typu niemieckiego, griffona i pudel-pointra możnaby starać się wyselekcjonować typ jednolity wyżła polskiego szorstkowłosego. Wyobrażam sobie nawet, że przez jednorazowe doprowadzenie krwi airedala-terriera; względnie brodacza monachijskiego (szarego, nie czarnego) możnaby poprawić szatę a także temperament wyżła krajowego. Chcąc jednak podnieść hodowlę, trzeba przed tym wytknąć jasno jej cel.

Typ wyżła, który uważam za pożądany, powinien być zbliżony do wyżła niemieckiego, lecz o silniejszej budowie i nieco szerszym froncie, a jeśli chodzi o temperament — powinien posiadać wyraźnie cechy psa obrończego.

W wyżle polskim chciałbym widzieć psa par excellence użytkowego w służbie leśników i straży leśnej, któryby przede wszystkim był dobrym aporterem na lądzie i wodzie, dobrym posokowcem i szperaczem — również dobrym obrońcą i ciętym na szkodniki łowieckie, a dopiero na drugim miejscu psem polowym. Psem polowym jest pointer i setter, a poza tym wobec wyniszczenia kuropatw nie prędko jeszcze będzie u nas miał praktyczne pole do popisu właściwy field-trialser.

Pod tym kątem widzenia też opracowałem poniższy projekt wzorca w nadziei, iż skłoni on zainteresowanych do dyskusji na łamach Łowca Polskiego lub w czasopiśmie, które ma być wydawane przez Związek Kynologiczny, czy też w sekcji psów myśliwskich tego towarzystwa. Z natury rzeczy akcja wskrzeszenia wyżła polskiego uwieńczona będzie tylko wtedy rezultatem, o ile myśliwi lepiej niż dotychczas zrozumieją i uznawać będą, iż tylko ten zasługuje na miano prawego myśliwego, kto, posiadając odpowiednio wyszkolonego psa, troszczy się o los postrzałków. Projektuję przeto następujący wzorzec, którego układ oparłem na wzorcu ramowym, uchwalonym na XII zjeździe międzynarodowej federacji kynologicznej w Monaco.

1. **Wygląd ogólny.** Pies dość duży (60 do 66 cm), silny, robiący wrażenie inteligentnego, energicznego, lecz zarazem poważnego, o harmonijnej budowie, zdradzającej wytrwałość i szybkość. Szata obfita, wodooporna, twarda i szorstka.

2. **Głowa.** Nos możliwie duży o wyraźnych, otwartych nozdrzach, barwy brązowej lub czarnej (stonowanej z maścią), grzbiet nosa szeroki, foremny, o ile możności prosty. Psy garbonose dopuszczalne, natomiast nos zapadły lub zadarty winien być uznany za wadę. Barwa mięsista niepożądana, dopuszczana tylko wtedy o ile na pysku i nosie jest biała plama na sierści. Policzki silne, dobrze umięśnione. Wargi dość obfite o barwie nosa, niezbyt obwisłe. Pożądane obfite owłosienie (broda), szczęki silne, równe, raczej graniaste niż spiczaste. Uzębienie silne, zdrowe, równo na siebie zachodzące. Przodogryz a także większe cofnięcie szczęki dolnej dyskwalifikuje. Wady w uzębieniu, o ile nie są skutkiem mechanicznych urazów, w szczególności słabe zęby wskutek nosówki lub rachityzmu, powodują poważną obniżkę oceny. Pysk cały duży i silny, dość długi, jak tego wymaga praca aportera. Pożądany raczej tępy profil pyska. Czaszka pojemna, dość szeroka między uszami, miarowo zwężająca się ku skroniom, lekko wysklepiona. Nasada czoła (stop) dość wyraźna jak i łuki nadoczne. Guz potyliczny umiarkowany pożądany, lecz nie jest istotną cechą rasy. Bruzda podłużna miernie zaznaczona. Oczy średniej wielkości, rozumne, raczej łagodne, lecz o zdecydowanym wyrazie, ani nie wypukłe, ani niezbyt głęboko osadzone. Powieki ściśle przylegające, „niedźwiedzie“ obwisłe powieki niepożądane. Dzięki brwiom oko robi wrażenie głębiej osadzonego, niż wynika to z anatomicznej

budowy. Oczy ciemno brązowe, jasne niepożądane, oko kawki lub sokole wadliwe. Uszy średniej wielkości, dość wysoko i szeroko osadzone, niezbyt grube, ani zbyt wiotkie, ściśle przy głowie zwisające, ku dołowi tępo zaokrąglone. Przesunięte do przodu nie powinny dochodzić dalej niż do połowy pyska, a raczej nawet mniej wadliwe niż uszy nadmiernie długie, lub wiotkie zwijające się. Szyja o silnym karku, dość długa, harmonijnie połączona z kłębem, muskularna, miernie ku górze wzniesiona, lecz nie zadarta. Niskie noszenie głowy (jak u posokowca bawarskiego) wadliwe. Nadmiar skóry na szyi niepożądany.

3. **Nogi przednie.** Łopatka ukośna, muskularna, lecz niewypukła, ruchliwa, płasko przylegająca, możliwie długa, tak samo jak kość ramieniowa, pod właściwym kątem ustawiona. Łokcie możliwie ku tyłowi sięgające, ani niezbyt przywarte, ani też luźne, na zewnątrz wychylone (luźne lub strome łopatki są poważnymi wadami). Przedramię proste, suche, dość długie o silnych, lecz nie limfatycznych kościach, dobrze umięśnione. Na tylnej krawędzi przedramienia i łokciach umiarkowane frendzle dopuszczalne. Pęciny silne, prawie proste lecz nie strome, stopy silne, zwarte, okrągłe lub nieco owalne. Palce silne, dobrze wysklepione o silnych pazurach. Podeszwy silne i twarde. U psów wychowanych na mokradłach lub piaskach stopa mniej zwarta dopuszczalna, o ile poza tym silna a nie luźna lub wiotka.

4. **Tułów.** Kłąb wyraźnie odznaczający się. Klatka piersiowa bardzo pojemna,, głęboka. Żebra dobrze wysklepione, lecz nie beczkowate. Front raczej silny niż wąski. Partia lędźwiowa i krzyż raczej krótkie. Brzuch miernie wciągnięty, lecz nie podkasany. Lędźwie dobrze umięśnione, wysklepione. Zad silny, szeroki, prosty lub tylko nieznacznie ku tyłowi opadający. Linia grzbietu prosta lub lekko ku tyłowi obniżona. Cały grzbiet muskularny, konieczny dla wytrwałego biegacza i aportera. Grzbiet lekko wysklepiony lub wysoki zad są wadliwe. Grzbiet zapadnięty, wiotki dyskwalifikuje psa.

5. **Tył.** Miednica długa, pojemna. Uda długie, muskularne, podudzia takie same — pod właściwym kątem do siebie i stawu skokowego ustawione. Stopy jak u przednich nóg, nieco dłuższe. Stawy skokowe silne, z tyłu równoległe, proste, niezbyt blisko siebie ustawione. Wilczy pazur niepożądany, powinien być za młodu usuwany. Postawa ciasna lub krowia są wadliwe, dyskwalifikują. Ogon przycięty o 1/3 lub połowę, wysoko osadzony silny u nasady. W spokoju nisko — w ożywieniu wyżej, lecz nie pionowo noszony, ruchliwy. Ogon nisko osadzony i kurczowo podciągnięty — wadliwy, tak samo jak ponad grzbiet zadarty.

6. **Szata.** Powinna składać się z bardzo gęstego, futrzanego podszycia i gęstej, silnej pokrywy. Sierć pokrywy twarda, szorstka i jędrna w dotyku, dość długa i możliwie gęsta. Może być ona zarówno przylegająca w kierunku ciała jak i kosmata. Sierść powinna okrywać całego psa ściśle. Najdłuższa na grzbiecie i udach, najkrótsza na stopach. Pożądane obfite brwi i broda. Uszy niezbyt kosmate lub nawet krócej owłosione, bez lub z małymi frędzlami. U spodu ogona mała szczotka (niewielkie frendzle) dopuszczalna. Sierść wełnista niepożądana, lecz niedyskwalifikująca, powinna przez dobór hodowlany być poprawiana. Podobnie zbyt kosmata o ile ma dobre podszycie a włos jest twardy. Jedwabista sierść na tułowiu, jak w ogóle sierść otwarta, bez podszycia, dyskwalifikuje. Delikatniejsza sierść jedwabista na głowie i brodzie, o ile nie rozciąga się na tułów, nie jest wadą. Maść dowolna — pożądana czarna. Na większą popularność zasługiwałaby biała łaciata, jako ożywiająca sylwetkę psa. Szczególnie powinna być ta maść popularna u myśliwych amatorów, gdyż zawodowi leśnicy będą woleli psy mniej podpadająco umaszczone. Natomiast pies amatora na zbiorowych polowaniach będzie mniej narażony na postrzelenie i lepiej widoczny przy buszówce w krzakach lub szuwarach.

7. **Wzrost.** W kłębie 60 do 66 cm, suka stosunkowo mniejsza. Tolerancja ku górze dopuszczalna, je-



Wyżel szorstkowłosy z hod. A. Gaponowa

żeli pies harmonijnie niezbyt ciężko zbudowany i chody na tym nie cierpią. Budowa silna i muskularna, lecz zapewniająca szybkość i wytrwałość, raczej głęboka niż długonożna.

8. **Wady.** Dyskwalifikujące: wszelkie wady budowy, odbijające się ujemnie na użyteczności, a więc luźna łopatka i zapadnięte plecy, oraz wadliwe szczęki. Bezwzględnie dyskwalifikowane winny być psy nerwowe, tchórzliwe lub słabowite. Poza tym wadliwe są wszelkie braki w harmonii, budowa charcia lub niezdarna.

Wskazane byłoby, aby materiał hodowlany był licencjonowany przez Związek Kynologiczny, przy czym licencję otrzymywałyby tylko psy, które zostaną uznane nie tylko pod względem pokroju, lecz które wykażą się węchem i ciętością, oraz chęcią do aportowania.

Pożądane byłoby, aby kynolodzy, zainteresowani w hodowli wyżła polskiego, nadesłali swe uwagi do Łowca Polskiego, czy do Związku Kynologicznego, który na podstawie powyższego projektu i nadesłanych uwag ustali wzorzec wyżła „polskiego", szorstkowłosego.

Wystawa wrocławska pokazała, iż dla psa tego typu jest u nas żywe zainteresowanie, a trzebaby tylko hodowli wytknąć jasny cel i zadania, by indywidualne wysiłki hodowców nie marnowały się wskuek rozbieżności kierunków hodowlanych.

L. Smyczyński

ANDRZEJ ŁEPKOWSKI

CO TO JEST ŻYŁKA MYŚLIWSKA?

Artykuł Jana Sztolcmana w jubileuszowym numerze Łowca Polskiego, pod tytułem „Tragedia zwierzyny", zmusił mnie do rozmyślań, stojących na pograniczu psychoanalizy.

Chodzi mi o sam fakt zabijania, który dla myśliwego połączony jest z przyjemnością. Przerywanie życia zwierzęciu w sposób nagły albo przewlekły, np. w wypadku zastawiania paści na lisy i inne zwierzęta futerkowe, jest koniecznością, podyktowaną przez względy gospodarcze, hodowlane, selekcyjne, naukowe. Ale skąd bierze się ta przyjemność? Ten znany każdemu myśliwemu dreszczyk podczas polowania?

Zabijanie zwierząt domowych jest konsekwencją gospodarki żywym inwentarzem. Trudno jednak pomyśleć, żeby kucharce sprawiało satysfakcję zabicie kury. Tak samo nie możemy wyobrazić sobie rzeźnika, który dygoce ze zwruszenia przed pozbawieniem życia cielaka. Ludzie, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z łowiectwem, gorszą się polowaniem, nazywając je barbarzyńską rozrywką. Myśliwi machają zwykle ręką na to, że się ich nazywa sadystami i rzadko zastanawiają się głębiej nad problemem zabijania.

Dlaczego łowiectwo nie ogranicza się do obowiązków, wynikających z gospodarowania zwierzyną a jest czymś więcej, czymś co ciągnie i cieszy, postaram się odpowiedzieć na podstawie trzech szkiców myśliwskich, które scharakteryzują ten problem.

* * *

Cichy letni wieczór. Idziemy drogą wysadzoną topolami. Od tej strony, z której nadchodzi noc, czernieje las, pachnie siano. Mijają nas ludzie, wracający z łąki. Patrzą na nas spokojne oczy, które niedawno pełne były kwiatów, padających pod kosą i ważek, które odlatywały tam, gdzie nie było jeszcze pokosów i szumiała wilgotna trawa. Idą zmęczeni dniem, pijani słońcem i przyrodą.

Jakiś młody gospodarz zaczepia nas.

— Panowie na polowanie, pewnie na kaczki? A, jest tego do licha! Pokazuje ręką jezioro, które teraz jest całe czerwone od wieczoru. Patrzy z zazdrością na nasze strzelby. Oksydowana stal porusza w nim coś, czego sam nie zna.

— Ja także polowałem — chwali się. Dawniej jak stryj żył — a jakże. Teraz stryja nie ma i strzelby nie ma. Odebrali...

Przypuszczamy, iż kłusował, ale nic nie mówimy. Chłop zawraca i idzie z nami. Ciągle coś pokazuje.

— Tu z trzciny wychodzi rogacz, powiadam panom — takie rogi — pokazuje na stylisku od grabi — jest z nim sarna z małym. Taki koziołek w kropki, śliczny — uśmiecha się. —! O widzą panowie — jastrząb leci. Ale morowy.

Z nad pól wylatuje powoli myszołów. Jest na strzał. Nikt z nas nie podnosi strzelby. Nasz przypadkowy przewodnik dziwi się.

— Przecież to szkodnik! Nie dalej jak przedwczoraj porwał we wsi kurę.

Mówimy, że to myszołów na pewno kury nie porwał, ale on nie wierzy.

Słońce już zaszło. Podchodzimy do jeziora. Trzciny szeleszczą, chociaż wiatru nie ma. Gdzieś ze środka słychać kwakanie. Przez lornetkę widzimy jak pomiędzy trzciną płyną w dużych stadach kaczki. Podobne są do konwojów okrętowych podczas wojny.

Wybieramy stanowiska. Nasz towarzysz przyłącza się do mnie i zajmuje mnie rozmową.

— Bo to pan widzi, ja bardzo chciałbym polować. Podobno nie tak łatwo dostać pozwolenie na „spluwę".

Mówię mu o Polskim Związku Łowieckim. Pierwszy raz słyszy o takiej instytucji. Tymczasem zaczyna się ściemniać. Ze środka jeziora idzie szum.

— Lecą, szepce chłop.

Jego biała koszula świeci na tle owsiska. Ułamuje gałąź olchową i zasłania się nią. Nad głową tną powietrze pierwsze krzyżówki. Strzelam... Kaczka jak kometa, zostawia za sobą smużkę pierza i leci głową na dół. Mój towarzysz porywa się ku niej. Chwytam go za rękę — zostaje. Kaczki lecą całymi eskadrami. Strzały grzmią nad jeziorem. Śrut spada w trzciny i szeleści, jakby kto żwir rozrzucał szuflą.

Jest prawie zupełnie ciemno. Nad granatowym lasem stoi księżyc jak balonik wypełniony światłem.

Podnosimy kaczki i wychodzimy na szosę. Szosa jest biała od kurzu. Przed nami idzie nasz „adiutant“ i niesie dwe kaczki. Przygląda się im z bliska, gładzi szorstką dłonią jasne podbrzusza i bierze martwe, błoniaste łapki bardzo delikatnie w grube spracowane palce. Przeżywa niedawne polowanie, mówi dużo i chwali nasze strzały.

Dochodzimy do wsi.

— Tutaj jest mój dom — pokazuje młody gospodarz.

W mroku widzimy białą ścianę, nad którą kołują nietoperze. Wymieniamy pozdrowienia i odchodzimy. W ciemności długo jeszcze jaśnieje jego koszula na czarnym prostokącie drzwi. Wiemy, że patrzy za nami.

Za wsią jest mała stacyjka, w której króluje granatowy zawiadowca w czerwonej czapce. Tam idziemy.

* * *

Widziałem go w wąwozie, między żarnowcami. Sznurował przed naganką. Wyszedł kilka kroków od mojego sąsiada i stanął. Mokry śnieg zlepił mu żółtą, olbrzymią kitę. Stanął i patrzył na człowieka, bojąc się ruszyć. Po strzale skoczył do góry i upadł na bok.

Mój sąsiad podniósł go za skórę na karku i pokazał mi z daleka.

Wracaliśmy saniami. Noc pełna była brzęczenia janczarów i parskania koni. Wieś patrzała pomarańczowymi oknami i pachniała dymem. Pod leśniczówką położyliśmy go na śniegu. Mały kundelek obwąchał lisa i zjeżył się. Z obory szła kobieta z wiadrami pełnymi mleka. Przy furce przystanęła.

— A dobraliście się panowie draniowi do skóry. Nie tak dawno sześć kur mi udusił. A ładny bestia. Futro będzie. Ho! ho! Zadźwięczała wiadrami i weszła do sieni, skąd buchnął zapach wędzonki.

* * *

Wyszliśmy z domu o świcie we dwójkę z gajowym. Na wschodzie pękało niebo i otwarła się szeroka, świetlana szpara. Mgły dymiły z łąk, a w tataraku darły się trzciniaki i łyski.



Owczarek tresowany do wchodzenia na drzewa
fot. S. Frankowski

Zaraz na skraju wsi przystanęliśmy. Ogarnąłem wzrokiem torfowiska i olszynę nad jeziorem. Łąka parowała nasycona rosą jak gąbka. I tak błądząc spojrzeniem po chuderlawych brzózkach i po krzewach tarniny, zobaczyliśmy wyraźnie brązową łatkę, przyklejoną do ściany trzcin. Wiedziałem, że w tym miejscu wychodzi rogacz. Przykucnęliśmy nad rowem. Zdjąłem z ramienia sztucer i pobiegłem wzdłuż rowu. Pomiędzy mną a zwierzyną był mały krzaczek. Dobiegłem do tego krzaczka i przez liście zobaczyłem go. Podniósł głowę i słuchał. Gdzieś od wsi szczekały psy. Zobaczyłem sarnę z małym. Stała obok w trzcinie. Rogacz zaczął się paść spokojnie. Powoli krzyż mojej lunety nasunąłem na jego łopatkę. Strzał jak uderzenie bata Później błyskawica pomarańczowej sierści. Bezradne beczenie sarny, uchodzącej z cielakiem.

Podskoczyłem ku niemu. Leżał na boku i oczy zachodziły mu bielmem. Właśnie skonał. Wysoko uperlone parostki, śliczne, prawidłowe. Biegnie gajowy i cieszy się. Fotografujemy się przy rogaczu

Nad łąką wschodzi słońce. Zaczyna się dzień.

* * *

Te trzy myśliwskie przeżycia są wystarczającym materiałem do wnioskowania i analizowania, co człowieka ciągnie do łowiectwa.

Na przykładzie pierwszym trzeba dokładnie zaobserwować psychikę prostego człowieka w zetknięciu się z naturą. Wszyscy mamy od pierwszych czasów zaszczepiony pierwiastek walki z przyrodą. W jednych ludziach impulsy te są bardzo silne, u innych zupełnie zanikają. Cywilizacja stworzyła warunki, w których walka o byt ogranicza się do zdobywania pracą dóbr materialnych.

Frazes „walka o byt“ miał dawniej znaczenie dosłowne. Człowiek walczył z potężną przyrodą. Karczował las, wznosił tamy przeciw powodzi i zabijał zwierzęta. Na niedźwiedzia chodziło się z oszczepem. Zmaganie było na śmierć i życie. Człowiek zwycięzca wracał do domu jako tryumfator. Zdobywał odzienie w walce, walką zaspokajał głód. Był to głód nie tylko fizyczny, ale także głód przeżycia i emocji, którego szczątki pozostały w nas do dzisiaj. W pierwotnych zmaganiach z przyrodą wywalczał sobie człowiek stanowisko — w społeczności jako jednostka a w przyrodzie jako nadrzędny gatunek.

Dzisiaj nie ma w Europie myśliwych, którzy z oszczepem chodzą na dzika. Przez wynalazek broni palnej niebezpieczeństwo ze strony rozjuszonego zwierza jest minimalne. Jednak pozostał w ludziach prymitywny pierwiastek emocjonalny, który dzisiaj ma upust w popisaniu się strzałem albo we współzawodnictwie w zdobyciu trofeum.

Może ktoś powiedzieć, że strzał do zająca albo kuropatwy nie jest przejawem walki ani bohaterstwa. Tak, to prawda. Jednak istnieje w człowieku instynkt panowania nad dzikim zwierzęciem i gospodarowania nim. Dzisiaj, kiedy coraz mniej jest grubej zwierzyny, potrzeby żyłki myśliwskiej są skromniejsze a ona sama degeneruje się powoli.

Epizod z lisem kończy się uczuciem zadowolenia z tego, że szkodnik został zabity a więc niejako poniósł karę.

Trzeci szkic jest mieszaniną uczuć. Śmierć zwierzęcia na tle dekoracji letniego poranka. Zjawia się zadowolenie myśliwego z precyzji strzału i radość ze

zdobytego trofeum. W tym ułamku sekundy, w którym pada strzał, człowiekiem rządzi pierwotny instynkt, który każe być nieczułym na sielankowość zjawiska.

Wydaje mi się, że obecność instyktów łowieckich w jakimś zbiorowisku ludzkim, jest objawem pozytywnym i dowodzi młodości społeczeństwa z punktu widzenia antropologii.

Na końcu chciałem nawiązać do artykułu Jana Szolcmana. Lekceważenie bólu fizycznego i męczarni zwierzęcia graniczy z sadyzmem i tym samym jest zjawiskiem bardzo niezdrowym. Tragedia rannej zwierzyny jest w większości wypadków spowodowana niedbalstwem myśliwego. Nieodpowiedzialne strzały są wynikiem nieopanowania. Niedochodzenie rannej zwierzyny dowodem, że myśliwy nie przeżywa razem z nią, tym samym nie ma bezpośredniego kontaktu z przyrodą i jest jej obcy.

Polować — nie znaczy to samo, co zabijać. Łowiectwo stwarza atmosferę, w której można ogarnąć przyrodę wszystkimi zmysłami i która porusza w człowieku zdrowy instynkt walki o podporządkowanie sobie wszystkiego, co żyje. Uczy świadomej gospodarki i rozsądzania spraw mieszkańców lasów i pól nie na drodze rozboju, ale naturalnych praw. Nie można nazwać łowiectwa rozrywką. Jest ono raczej przywilejem ludzi ściśle związanych z przyrodą.

Kraków, w październiku 1948 r.

Andrzej Łepkowski

TADEUSZ JĘDRZEJOWSKI

JAK BYĆ NIE POWINNO...

Łowiectwo nasze, po rozbiciu wojennym, zwycięsko pokonało niezliczone trudności. Dziś już na ogół właściwie zorganizowane, zaczyna pod opieką władz i organów PZŁ praktycznie funkcjonować w terenach.

Zaczął się sezon łowiecki. Z drżeniem serca brać Św. Huberta czeka na pierwsze polowanie. Po roku ciężkiej pracy rwie się serce każdego myśliwego w las po czar, po emocję i przeżycia myśliwskie. Pójdziemy do lasu, do tej skarbnicy, kryjącej w sobie prócz zadumy i smętku, wielkie, niezbadane tajemnice życia natury. Las — to cisza... pełna czaru i tajemnic, zazdrośnie kryjąca w sobie bujne, piękne życie, zakryte dla oczu i uszu nie umiejącego patrzeć i słuchać. Cisza w lesie i nasze dostojne zachowanie się w nim, ma czarodziejską moc. Zdejmuje bielmo z naszych oczu, zsuwa ciemną kotarę i odsłania swoje piękno w całej krasie i sile. Ciszą zdobędziemy te drogie tajemnice boru — wnikniemy w duszę jego, znajdziemy pokarm dla własnych dusz myśliwego-przyrodnika. Strzeżmy tej ciszy jak skarbu, jak klucza do najpiękniejszych tajemnic!

Łowczy jest najstarszym kapłanem tej świątyni, znawcą wszystkich ceremonii i tajemnic kniei i jej terenu. Jest szafarzem jej dóbr i uosobieniem władzy dla polujących myśliwych Cechują go wielkie zalety, z nieomylnym znawstwem swego terenu na czele. Myśliwy zaś, to posłuszny łowczemu rycerz, walczący o te najsilniejsze wrażenia, jakie mu obcowanie z przyrodą przez łowiectwo dać może. Przez łowiectwo — gdyż samo zdobywanie największej ilości zwierzyny, nie jest ideałem i celem polowania. Ideałem jest znajomość życia i potrzeb kniei, jej umiłowanie i dbałość o jej prawa — koroną zaś tego — strzał myśliwski etyczny, pewny.

Pewne zaspokojenie głodu tych wszystkich, nieraz do śmierci nie zapomnianych wrażeń, dać może tylko dobrze prowadzone polowanie przez łowczego, który knieję kocha i zna swe obowiązki. Dobrze prowadzone polowanie, dobrze pędzony miot, bez względu na to czy w nim strzelamy, czy nie, daje nam dużo napięcia i emocji

Niestety! Jak często bywa inaczej!

Zamiast tych wzniosłych wrażeń i przeżyć, ogarnia myśliwego gorycz, nuda, zmęczenie, ból psychiczny a nieraz i złość pospolita.

Pierwszą pandemicznie panującą wadą, że tak powiem — wstępną omal każdego polowania, jest brak punktualności na punkcie zbornym. Zawsze na „tego jednego", co „na pewno" przez tydzień swe przybycie ogłaszał, czeka się pół godziny, o jeden miot mniej. Łowczy w końcu prowadzi brać myśliwską do lasu, która rozgwarzona ani myśli skończyć głośnych dysput, właśnie o polowaniu prowadzonych. Na pierwszej linii czeka naganka — trzeba rozpocząć miot — i teraz dopiero łowczy przypomina, że wyobrażenia nie ma o terenach, zasięgu miotów, liniach, ba nawet o granicach własnego łowiska. Zaczyna się jeszcze głośniejsze deliberowanie — co brać? jak brać? gdzie stanąć? jak pędzić?

Wytwarza się chaos.

Łowczy jak nie pyszny zaczyna prowadzić wywiad z najstarszym naganiaczem, jak tu dawniej polowano? gdzie myśliwi stawali? gdzie linia następna? itp. Naganiacz tymczasem niewiele wie a czas ucieka wraz z wymarzoną nadzieją polowania. Tylko gwar nie ustaje — owszem potęguje się do tego stopnia, że biedne lisy aż z czwartego miotu się wynoszą. W końcu ostateczna decyzja łowczego przecina różnicę zdań.

— Polujemy! wy przewodnik naganki pójdziecie tam, gdzie te dwie brzozy widać i pędzić będziecie tamtędy, jak ten duży komin, a myśliwi staną na prawo, w dół od komina. Koniec! Na stanowiska!

Poszła naganka i poszli myśliwi, ale ani jedna, ani druga strona nie wie jak pędzić i jak stawać. Co z tego wynika? Łowczy ustawia myśliwych według uprzednio wylosowanych numerów. Byłoby pozornie już wszystko w porządku, tylko głośne zachowywanie się myśliwych nie ustaje — no i łowczy przypadkowo wyciągnął numer drugi.

Zostaje więc zaraz z początku a reszcie każe „tak prosto za tą linijką, o 60 kroków jeden od drugiego stawać".

Nieszczęście chce, że ta linijka kończy się za najbliższym załomem i idzie pod kątem prostym. w bok

przeciwny od pędzenia. Jakoś i to opuszczona brać myśliwska szczęśliwie rozwiązuje i rozstawia się. Moment ulgi i nadziei. Wreszcie upragniona cisza. Potem sygnał łowczego dla naganki i teraz — aż za dużo ciszy. 5 — 10 — 15 minut ani słychu ze strony naganki. Słychać natomiast irytację łowczego i dalsze niecierpliwe trąbienie. Po 30 minutach dochodzą z oddali cichutkie odgłosy naganki.

Ruszyli. No! wreszcie! Miłe skupienie i uwaga, ale nagle refleksja: pędzi się gęstwiną, a naganka stąd o 1 i pół km. Cóż tu na linię dojdzie? Wilków przecież w miocie nie ma. Za chwilę i to ucichło. Słychać tylko głosy trzech zagubionych naganiaczy, luźnie wałęsających się po miocie. Nie pomaga rozpaczliwe skandowanie łowczego „chodźcie tutaj!", „chodźcie tutaj!" Zachrypł, a naganka poszła w bok, przez szereg nieobsadzonych miotów.

O zgrozo! Ileż rozczarowania, goryczy, zniechęcenia. Prysnęły jak bańka mydlana nadzieje polowania i pięknych przeżyć łowieckich. Wytwarza się chaos i karygodny bałagan, rozpacz. Co dalej czynić? Jak zebrać rozbite stado naganiaczy? Wreszcie gdzie i jak dalej polować? Przecież wszystko już od jednego razu na cztery strony świata przepędzone. Skończyło się łowisko.

Aż przykro opisywać dalsze epizody tak prowadzonego polowania. Łowczy narzekał na zły rozkład terenu, na nagankę, na wszystko winę składał, tylko nie na siebie. On nie winien. Naganka zmyliła..:

Koledzy łowczowie! Nie naganka, ale wy, po trzykroć wy winni. Obowiązkiem łowczego jest zapoznać się w martwym sezonie z terenem i poszczególnymi miotami. Wyszkicować starannie wszystkie mioty, ustalić linię strzelców i pędzenia, zapoznać się z flankami i granicami, każdy poszczególny miot i porządek polowania mieć w notatce, w kieszeni obok trąbki łowieckiej.

Nie ruszajmy inaczej w teren, bo prócz goryczy i rozczarowania niczego więcej nie zdobędziemy. Jedno dobrze opracowane polowanie da lepsze wyniki niż dziesięć złych. Z umiejętności polowania nie możemy stwarzać parodii. Wiemy, że niektóre kółka mają duże tereny i trudno wymagać od jednego człowieka, by tyle czasu mógł im poświęcić, ale temu złu można radykalnie zaradzić. Niech będzie w kółku jeden główny łowczy, kierujący całokształtem spraw, a innym członkom niech na zmianę porucza, jako swym podłowczym, po jednym rewirze do opracowania, a później prowadzenia w nim polowania. Wiele z tego będzie korzyści, a największe to, że damy możność kształcenia się na łowczych wszystkim członkom kółka, damy sposobność nie tylko do krytyki, ale też do okazania swych zdolności w terenie, w prowadzeniu gonów; odciążymy łowczego i na pewno będziemy mieć dobre polowanie i rutynowanych łowców.

Z opisaną wyżej metodą polowania musimy skończyć — i to zaraz. Dziką ma być zwierzyna a nie sposób polowania na nią! Musimy zdać sobie sprawę ze smutnej prawdy, że brak nam zupełnie narybku myśliwskiego, i że mamy obowiązek starać się o niego i wychowywać na prawdziwych, szlachetnych, wyznawców Św. Huberta.

Cóż im powiemy i czego nauczymy na tak prowadzonych polowaniach?

Zabrze, w listopadzie 1948 r.

Tadeusz Jędrzejowski

J. JASTRZĄB - KWIATKOWSKI

Istotni sprawcy wyniszczenia zwierzyny łownej

(inż. E. Frankiewiczowi w odpowiedzi)

W numerze 9 (958, wrzesień ub. r.) Łowca Polskiego, inż. Edward Frankiewicz, nawiązując do artykułu inż. Karola Ringa, zamieszczonego w tymże piśmie (nr 4) kwiecień 1948 r., zabrał głos w artykule pod powyższym tytułem, w którym, poruszając między innymi sprawę niszczenia zwierzyny łownej, wystąpił wrogo przeciwko leśnikowi uważając go za... „głównego sprawcę wyniszczenia zwierzyny łownej".

Sz. Autor — jak twierdzi w swoim artykule — nie jest leśnikiem, bo — pisze — „mieszkam w mieście, lecz od dwudziestu kilku lat pracuję w administracji lasów państwowych. Poluję od przeszło trzydziestu lat i każdą wolną chwilę spędzałem i dziś również spędzam w kniei..." Kogóż zatem uważa Sz. Autor za leśnika? Bo jeżeli ktoś pracuje „od dwudziestu kilku lat" w administracji lasów państwowych i od przeszło trzydziestu lat „spędza w kniei", choć nie mieszka w lesie, a w mieście, to nie może być leśnikiem? Czy może dlatego wyrzeka się Sz. Autor miana leśnika, aby z „czystym sumieniem" gromy walić na cieszącego się najlepszą opinią leśnika polskiego?

Na podstawie sporadycznych wypadków istnienia gdzieś może owego „nowego typu leśnika — kłusownika", który — „zachęcony bezkarnością przestępstw łowieckich, popełnianych w pierwszych latach powojennych, upraw a ten proceder i dziś wybija resztki zwierzyny" — inż. Frankiewicz określa całą rzeszę leśników polskich mianem „kłusownika". Owych „zachęconych bezkarnością" — nie ma dziś w administracji lasów państwowych, wszyscy oni bowiem zostali usunięci z zajmowanych stanowisk i to nie tylko za „wybijanie", ale za ubicie choćby jednej nawet sztuki bez zezwolenia.

Nie przeczę, że w pierwszych latach powojennych, leśnicy polscy, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, mieli na sumieniu może niejedną sztukę, ale stwierdzam z całą stanowczością, jako leśnik zatrudniony w administracji lasów państwowych a na Ziemiech Odzyskanych od chwili ich wyzwolenia, że i w owych pierwszych latach powojennych, leśnik polski stał na straży tak lasu, jak i ich mieszkańców i niejednokrotnie, w trosce o ochronę zwierzostanu, narażał swoje życie. Ileż odebrał on broni kłusującym gospodarzom wiejskim, ile zrobił meldunków na bezprawnie polujących żołnierzy polskich i radzieckich, ilu leśników oddało życie swoje lub nabawiło się kalectwa, postrzelenia przez kłusowników, przy strzeżeniu dobra państwowego. O tym nie wie Sz. Autor, mimo tak „bogatych doświadczeń".

W jednym tylko Nadleśnictwie Państwowym Oborniki Śląskie, w okresie od dnia 1 VI 1945 r. do dnia 31 III 1946 r., służba leśna zanotowała następujący ubytek zwierzyny łownej, na skutek wybicia jej przez nieuprawnionych do polowania, względnie kłusujących w powierzonych ich pieczy lasach: 1.133 sztuki w tym: jeleni - byków — 8, jeleni łań — 10, sarn kóz — 430, sarn kozłów — 220, dzików odyńców — 4, dzi-

ków macior — 6, dzików warchlaków — 5, zajęcy 450 sztuk.

W tymże nadleśnictwie, w pierwszych latach powojennych zwolniony został za ubicie sarny jeden gajowy; postrzelony przez kłusowników — jeden gajowy; odebrano 3 karabiny.

Sz. Autor, „nieleśnik" z administracji lasów państwowych, pisząc swój artykuł na podstawie „własnych doświadczeń", winien nieco więcej wiedzieć o roli leśnika polskiego, jaką on odegrał i odgrywa po dziś w ochronie zwierzostanu, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych.

Ob. inż. Frankiewicz przeciwny jest zaopatrzeniu funkcjonariuszów administracji lasów państwowych w broń myśliwską, twierdząc, iż... „nie każdemu leśnikowi można dziś powierzyć z całym zaufaniem opiekę nad zwierzyną i sądzę — pisze — że jeszcze nieprędko to nastąpi".

Z tego wynika, że Sz. Autor chciałby spowodować przewrót w całej administracji lasów państwowych, bo przecież zadaniem leśnika jest nie tylko ochrona, użytkowanie czy hodowla lasu, ale też ochrona i hodowla zwierzyny, zamieszkałej w powierzonych mu rewirach, co jest także jednym z przedmiotów, wykładanych w szkołach leśnych. Trudno wyobrazić sobie leśnika, w którego zakres pracy nie wchodziłaby ochrona czy hodowla zwierzostanu. A więc do kogo — według zdania Sz. Autora — zadanie to ma należeć?

„Broń myśliwską mogą posiadać tylko ci leśniczowie i gajowi, którzy są członkami PZŁ oraz zalegalizowanych kółek łowieckich" — pisze dalej Sz. Autor. Nie jest to przecież nowością, bo właściwie tak jest i żaden leśniczy czy gajowy nie uzyska zezwolenia na posiadania broni myśliwskiej, jeżeli nie jest członkiem PZŁ. I żaden leśnik, jeżeli nie jest w kółku myśliwskim, a tym samym i w PZŁ — nie ma prawa polowania, gdyż prawo to przysługuje nie z tytułu zajmowanego stanowiska w administracji lasów państwowych, a jedynie z tytułu przynależenia do Polskiego Związku Łowieckiego.

Z powyższego wynika, iż Sz. Autor, który tyle mówi w artykule o swoim „doświadczeniu" — nie orientuje się w tak zwykłych i znanych każdemu, kto ma styczność z łowiectwem sprawach, regulujących właśnie najważniejsze zagadnienie komu wolno a komu nie wolno posiadać broni myśliwskiej i polować.

Sz. Autor, ob. inż. Edward Frankiewicz, w pewnych ustępach swego artykułu podkreśla klęski, jakie spowodowane zostały na skutek naruszenia równowagi biologicznej odnośnie lasu i przyznaje, że „obecny leśnik stara się odtworzyć lasy o charakterze pierwotnych puszcz, wielowiekowe i wielopiętrowe, a pojęcie „chwastów leśnych" znikło". Z uznaniem odnosząc się do leśnika, twierdzi, że... „nawrócił z błędnej drogi".

Sprawa wejścia leśnika na właściwą drogę odnośnie zmiany tzw. gospodarstwa zrębowego na bezzrębowe, co przyczynić się ma właśnie do odtworzenia lasów o charakterze pierwotnych puszcz, o wielogatunkowym i wielopiętrowym drzewostanie jest dość poważna i ma ona ścisły związek ze znajdującą się w lesie zwierzyną, a właściwie nadmierną jej ilością.

Przy przekształceniu drzewostanów jednogatunkowych — przeważnie sosnowych — na wielogatunkowe liściaste czy mieszane, nadmierna ilość zwierzyny płowej uniemożliwi, a nawet zniweczy wszelkie czynności w tym kierunku leśnika. Bo wyobraźmy sobie czy młode, wprowadzone pod drzewostanem dęby, graby czy buki będą mogły rozwijać się przy nadmiernej ilości zwierzyny? A dalej, jaki może być sposób zabezpieczający młode, śmiejące się do życia drzewka liściaste przed jeleniem czy sarną? Przy wprowadzaniu drzewostanów liściastych na zrębach czystych — jak niejednokrotnie dotychczas stosowano — można było daną powierzchnię ogrodzić siatką bądź żerdziami, ale ogrodzenie kilkusethektarowej powierzchni lasu, gdzie wprowadza się gatunki liściaste — jest wprost niemożliwe.

Przed wojną, w jednym znanym mi majątku leśnym na Pomorzu, o powierzchni 500 ha lasu znajdowało się samych tylko jeleni 180 sztuk, nie licząc innej zwierzyny. Wszystkie kultury liściaste były tam ogrodzone siatką. Obecnie, przy bezzrębowej gospodarce, ogrodzenie takiej powierzchni, jeżeli w dodatku nie znajduje się w jednym kompleksie — jest niemożliwością.

Z powyższego wynika, że przy gospodarce bezzrębowej jest niedopuszczalny nadmiar zwierzyny takiej jak sarna, jeleń czy daniel, gdyż cała praca leśnika poszłaby na marne, wszystkie drzewka zostałyby ogryzione, bądź zniszczone na skutek spałowania i lasy nasze doprowadzilibyśmy do katastrofalnego stanu.

Któż zatem prowadzić ma tę selekcję czy odstrzał jak nie leśnik? Czy myśliwy — nieleśnik, zrzeszony w kółku myśliwskim i z tego tytułu posiadający broń myśliwską, z którą wypuszcza się na łowy raz czy kilka razy do roku — jest w stanie przeprowadzić selekcję czy odstrzał, nie znając ani lasu, ani stanu zwierzyny?

Owi myśliwi — nieleśnicy, którym inż. Frankiewicz wciska w dłoń broń myśliwską i powierza im „opiekę" nad zwierzostanem — to właśnie owi „strzelcy", dla których myślistwo to strzelanie do zwierzyny, jaka tylko podejdzie pod lufy, gdy tymczasem myśliwy leśnik, od młodych lat zżyty z lasem i jego mieszkańcami, zna niemal każdą sztukę czy stadko w swoim rewirze; zna najlepiej potrzeby zwierzyny i troszczy się o nią tak, jak i o powierzone mu lasy. Leśnik polski, któremu Państwo powierza w pełnym zaufaniu miliardowy majątek, majątku tego musi strzec, a majątkiem państwowym jest także i zwierzyna, zamieszkująca lasy.



Objazd kniei *rys. L. Hryncewicz*

Jeżeli teraz Państwo nasze oddaje pod opiekę leśnikowi tak wielki majątek ma do niego pełne zaufanie, to dlaczego mieć nie ma zaufania odnośnie broni? Aby strzec owego dobra państwowego — leśnik właśnie musi być zaopatrzony w broń.

W związku z nadmiernym występowaniem zwierzyny, a zwłaszcza dzików w niektórych powiatach, wyłania się jeszcze jedna kwestia poważnej pozycji w budżecie Państwa, jaką przynieść może odstrzał i eksport zwierzyny do innych krajów.

Niektóre państwa, jak Anglia, Holandia i Belgia zawarły już ze Spółdzielnią „LAS" umowę na eksport zwierzyny, płacąc za 1 kg — 2 dolary. Jedna tylko Dyrekcja Lasów Państwowych Okręgu Wrocławskiego — jak obliczono — dostarczyć może w roku gospodarczym 1948/49 z odstrzału około 100.000 kg dziczyzny, co stanowi wartość 200.000 dolarów.

Może ktoś z czytelników gotów wystąpić przeciwko moim wywodom, zaliczając mnie do owych właśnie leśników-strzelców, którzy myślistwo traktują jako źródło dochodu i powie: „jak można takiemu dać broń".

Dla orientacji, a właściwie dla udowodnienia konieczności odstrzału np. dzików, przytoczę straty, ja-

kie skarb Państwa ponosi, na skutek szkód, wyrządzonych przez dziki w plonach rolnych — na terenie jednej tylko Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Wrocławskiego w okresie jednego roku.

W okresie gospodarczym 1947/48 wspomniana dyrekcja wypłaciła rolnikom, tytułem odszkodowania za wyrządzone szkody w plonach rolnych — 4 100 000 zł, gdy tymczasem wpłynęło do dyrekcji podań na 13.000.000 zł. do nadleśnictw — 17.000.000 zł. W przybliżeniu biorąc, szkody wyrządzone w plonach rolnika przez dziki, na terenie jednej tylko dyrekcji, o powierzchni 349.000 ha lasów, ciągnących się na 3/5 powierzchni Dolnego Śląska, nie licząc lasów, nad którymi sprawuje nadzór fachowy — wynoszą około 20.000.000 zł rocznie, co w przeliczeniu na zboże wyniesie około 10.000 metrów zboża, a to równa się 100 ha zniszczonych plonów. A jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie 17 dyrekcje lasów państwowych w Polsce?

Reasumując powyższe, musimy się jednak zgodzić, że myślistwo obecne, to nie teren pańskiej rozrywki, lukratywnego przemysłu, ucieczki od rzeczywistości, to poważna pozycja w budżecie naszego Państwa, przy racjonalnej i celowej gospodarce łowieckiej.

A leśnik polski, stojący na straży lasu, a zatem i ich czworonożnych i skrzydlatych mieszkańców — musi być zaopatrzony w broń myśliwską, aby z jednej strony ścigał kłusownictwo i wnykarstwo, z drugiej — brał udział w racjonalnie prowadzonych przez dyrekcję lasów państwowych lub przez stowarzyszenia myśliwskie polowaniach, celem selekcji czy odstrzału nadmiernej ilości występującej zwierzyny.

J. Jastrząb - Kwiatkowski

ALEKSANDER KOWALCZYS

JESZCZE O POLOWANIU NA POMYKA

Z uczuciem ulgi powitaliśmy okólnik o zakazie polowania na pomyka. Zamykamy nareszcie okres swarów, niedociągnięć, a nawet nadużyć. Ponieważ jednak tu i ówdzie podnoszą się głosy sprzeciwu, rozważmy, co nam ten zakaz daje. Zacznijmy od najważniejszych.

Niemal całe kłusownictwo zostaje na codzień w naszych łowiskach prawie uniemożliwione. Jeśli wszystkim będzie wiadomo, że samopas polować nie wolno, każdy strzał w terenie będzie traktowany jako podejdejrzany, co znakomicie ułatwi wykrycie sprawcy i usprawni kontrolę terenu. Polował dawniej myśliwy, po nim przyszedł kłusownik lub nawet sąsiad nieuczciwy, a wszystko szło na rachunek pierwszego.

W czasach ogólnego zaniku etyki ludzkiej, spowodowanego minioną wojną, sporo „myśliwych“, mówiąc oględnie, zapominało policzyć koty w plecaku w myśl zasady: „co wkłada prawica, niech nie wie lewica“. I nie można się temu dziwić. Olbrzymie masy nowych członków, pełnych zresztą najlepszych chęci, których przyjąć trzeba, stykają się nie rzadko po raz pierwszy z bronią i... z etyką myśliwską. Twierdzą, że mało ludzi rodzi się z etyką gotową, że u większości wyrabia się i wysubtelnia ona latami; gdyby tak nie było, połowa działalności PZŁ nie byłaby potrzebna. Gdybyśmy poszli za zdaniem niektórych myśliwych, że „polować można jak kto chce, byle etycznie“, wprowadzilibyśmy w obecnej chwili w błąd nowoprzyjętych członków, bo w krótkim czasie nie moglibyśmy im już zapewnić polowania, bo nie było by na co.

Pojęcie etyki nie da się ująć matematycznie, u każdego myśliwego jest inne; jeden myśliwy będzie uważał za etyczne odstrzelenie np. 20 zajęcy w łowisku, drugi (w najlepszej zresztą wierze) 30.

Znam takich myśliwych, którzy z zasady nie polują na zasiadkę i czaty, drudzy robią to z przyjemnością. U schyłku sezonu na dziki wyszła na stanowisko locha, prawdopodobnie prośna; jeden z myśliwych przeprowadził ją lufami, drugi zaś zabił. Po wypatroszeniu zobaczyliśmy osiem niedoszłych warchlaków. Nie potępiam tych, którzy polują na zasiadkę, sam chętnie to robię, chcę tylko wykazać, że etyka myśliwska, jak każde zresztą pojęcie z tej dziedziny, nie jest rzeczą ścisłą: odznacza się dużą płynnością, na niej więc, jako niestałej i różne u każdego, polegać nie można. Dlatego też potrzebne są pewne zakazy. Wszystkich zaś, tęskniących za „nieskrępowanymi a etycznymi łowami“, należało by (nie posądzając ich o nieszczerość) zmartwić, że etyka to w gruncie rzeczy właśnie... ograniczenia. Ograniczenia i zakazy, czasem z wewnątrz, czasem z zewnątrz. Teoretycznie możnaby powiedzieć, że ci, co się zgadzają na ograniczenia łowieckie, są bardziej etyczni od tych, którzy tych ograniczeń nie chcą; każde bowiem ograniczenie naszej przewagi nad zwierzyną prowadzi do pogłębienia naszej etyki.

Nie zapominajmy dalej, że sam zakaz odgrywa rolę wychowawczą, wpływając na niezdecydowanych i wahających się. Musimy sobie powiedzieć szczerze, że zgłasza się wielu nieuświadomionych, którzy w łowiectwie widzą interes. Szczególnie zdarza się to na wsi. Gospodarz po ukończeniu robót w polu ma czas, widzi te parę kotów, wie gdzie i kiedy śpią, co jedzą itd. Myśli więc sobie: przydało by się trochę mięsa, a sto złotych do kółka łowieckiego — nie majątek. Składa więc podanie. Przedtem bez egzaminu, obecnie z egzaminem. Przeczyta sobie coś nie coś i zdaje, mówiąc na egzaminie, że „polować trzeba etycznie“. Spróbujcie tam później urządzić polowanie: w promieniu pięciu kilometrów nie znajdziecie kota.

Jest to częściowo nasza wina, dajemy za mało pogadanek, odczytów itd., ale niemniej tak jest i ograniczenia w polowaniu samopas są potrzebne, przynajmniej na razie. Jeśli więc można będzie polować tylko zbiorowo, odbierze się możność wszystkim legalnym kłusownikom wybijania resztek zwierzyny. Nie zapominajmy też, że obowiązkiem każdego myśliwego jest strzelać wtedy tylko, kiedy jest najwięcej szans najszybszego zabicia zwierzyny. Strzelając z tyłu do pomykających kotów, szpikujemy śrutem przeważnie tył, podczas gdy najważniejsze organa mieszczą się w przodzie ciała i są zakryte. Znajdowałem lub dobijałem po polowaniu dużo kotów ze zropiałymi skokami. Kot postrzelony w tył idzie kilometrami i ginie w długich męczarniach. Przy pędzeniu zaś, będziemy mieli spotkanie z kotami, które będą szły na sztych lub w innym wypadku — bokiem na połeć. Strzał razić będzie wówczas najżywotniejsze organy, przeważnie kładąc w ogniu. Zdaje się więc, że etyczniej będzie strzelać na sztych, a zatem zające pędzone. Jeśli chodzi o grubszą zwierzynę np., to nikomu nie przyjdzie na myśl strzelać kulą z tyłu.

Musimy także wziąć pod uwagę, że każde polowanie zbiorowe jest do pewnego stopnia egzaminem, szczególnie dla młodszych myśliwych, których teraz mamy dużo. Polowanie indywidualne jest bezwzględnie polowaniem „samopas“, podczas gdy polowanie zbiorowe wymaga większego opanowania i większej uwagi na przepisy, co jest szczególnie ważne dla młodych, których bezwzględnie uczy. Pomijając już łatwiejsze ujęcie stanu zwierzyny przez łowczego, sprawiedliwszy i jednakowy udział wszystkich myśliwych, musimy jeszcze zwrócić uwagę na sprawę spokoju w łowisku, kwestię nad wyraz ważną. Codzienne, a przynajmniej częste pukanie w łowisku, musi zakłócić normalny tryb życia zwierzyny, która, żyjąc w ciągłym strachu, będzie się degenerować. I tutaj etyka nam powie, że zwierzyna ma prawo do spokoju, a powinniśmy to tym lepiej zrozumieć, bo sami niedawno byliśmy też zwierzyną. Polujmy więc nie „jak kto chce, byle etycznie“, — bo jeśli „jak kto chce“ — to znaczy nieetycznie.

A. Kowalczys.

DZIK W KOTLE

Zimą 1936 roku polowałem jako łowczy powiatowy na terenie dzierżawionym przez Kółko Myśliwskie w Potoku Złotym, buczackiego powiatu. Teren urozmaicony, pola, tzw. sianożęta i remizki dzikie wśród chłopskich pól.

Polowaliśmy na zajączki w kotłach przy stanie 14 myśliwych i około 40 naganki. Kilka kotłów już przeszło, radość i humor panowały wśród myśliwych, gdyż dzień był słoneczny, bezwietrzny, przy 8 stopniach mrozu, a przy tym szaraków stosunkowo dużo. Pod wieczór, gdy zamykaliśmy przedostatni kocioł, zauważyłem znaczną ilość tropów lisich oraz w środku kotła zachęcającą remizkę, silnie zarośniętą tarniną i głogiem, co stanowiło dobre ukrycie dla upragnionego przez brać myśliwską — rudego mykity.

Kocioł zamknięty — sygnał podany. Ruszamy pełni emocji czy mykita się zjawi. Po kilku strzałach do szaraków wychodzi z debry mykita. Kręci się, bada gdzie strzelcy, puszcza się w jedną stronę, zawraca, kluczy i znów wpada do debry.

Kocioł się zmniejsza. Każdy myśliwy pragnie, by nań wyszedł mykita. Myśliwi i naganka pełni emocji: jedni by nie spudłować, drudzy by nie wypuścić zwierzyny za kocioł.

Idziemy spokojnie, strzelając umykające szaraki. Wtem, zbudzony widocznie strzałami oraz nerwowym bieganiem rudego mykity — wysuwa się z debry wolnym krokiem ładny wycinek. Rozgląda się na wszystkie strony i wolnym truchtem rusza ku widniejącym na horyzoncie lasom. Wiedziałem, że dzik najprawdopodobniej pójdzie bez strzału, względnie zostanie przez zgorączkowanego myśliwego obsypany zajączkiem, gdyż nikt z myśliwych nie miał broni kulowej.

Polecałem się łaskom Świętego Huberta, bo w ręku miałem doskonały dryling Simsona i czekałem z biciem serca czy dzik zawróci w moją stronę. I rzeczywiście strzały z przeciwnej strony kotła spowodowały, iż ruszył w ostrym galopie ku mnie. Przepuściłem kilka szaraków, by dzika nie płoszyć, wezwałem nagankę, by cicho się zachowała. Szczęśliwy moment — dopuszczam dzika na kroków kilkadziesiąt, puszczam za kocioł i pięknym strzałem za ucho rozciągam czarną bestię na nieskalanej bieli śniegu.

Jan Wieczffiński

MACIEJ GABAŁA

ORŁY MORSKIE NA WYBRZEŻU BAŁTYKU

Żaden ptak nie jest owiany taką legendą, nimbem siły i potęgi, jak orzeł. Podobizna jego patrzy na nas z godeł państwowych, pieczęci, chorągwi i sztandarów wojskowych.

Pod znakiem orła ruszały nasze zastępy zbrojne do boju o słuszną sprawę Rzeczypospolitej. W największym nasileniu bitewnym, wzniesiony nad głowami naszych wojowników, pobudzał ich do walki i zwycięstw. Dumnie łopotał na wietrze, gdy zwycięstwo było po naszej stronie. W czasie klęsk i niewoli nie opuszczał nas, ukryty wśród strzech chłopskich, robotniczych i pałaców. Wszystkim przypominał potęgę Rzeczypospolitej. Był symbolem jedności, czujności i gotowości do czynu.

Obecnie on sam potrzebuje naszej opieki i opiekę tę musimy mu dać. Do 1850 roku orły górskie i morskie były tak liczne, pospolite, że w literaturze ornitologicznej spotkać było można tylko zdawkowe wzmianki o nich. Nikt sobie przed tym czasem nie chciał zadawać trudu, by ogólnie znanemu i licznie występującemu królowi przestworzy poświęcać więcej uwagi. Dopiero, gdy orły zaczęły być coraz rzadsze, zwrócono się do badań nad nimi. Nadbałtyckimi orłami morskimi (Haliaeetus albicilla) pierwszy zajął się ornitolog niemiecki Varendorf. W 1890 roku wystąpił on z wnioskiem o ochronę tego dumnego ptaka, „który żadnej gospodarczej i łowieckiej szkody nie czyni".

Apel Varendorfa nie znalazł oddźwięku ani u czynników rządzących, ani też wśród braci myśliwskiej. Świadczy o tym wzmianka w miejscowym (szczecińskim) ornitologicznym czasopiśmie z 1910 r., z którego wynika, że jeden z podległych służbowo Varendorfowi funkcjonariuszy państwowych na wyspie Vilm, w pobliżu wyspy Rugii, w okresie jednej zimy zastrzelił na drzewach noclegowych 20 sztuk orłów morskich, w tym jednego wieczoru 7 sztuk. Niejaki Dorn z Hindenlang zabił ogółem 100 orłów i był przez prasę podziwiany.

W tym czasie spotykano na wyspie Vilm w godzinach wieczornych gromady od 40 do 50 orłów, które na wierzchołkach drzew nocowały. Prócz strat przez odstrzały dochodziły jeszcze straty, powodowane niszczeniem gniazd i podbieraniem jaj oraz młodych (przeciętnie niszczono na wybrzeżu od 8 — 10 gniazd rocznie). Oczywiście, w tych warunkach liczba orłów zaczęła gwałtownie maleć.

Na skutek alarmów ornitologów i przyrodników wydały władze niemieckie 15 lipca 1922 r. rozporządzenie całkowitej ochrony orłów morskich. Nie troszczono się jednak zbytnio o wykonanie tej ustawy i jeszcze w roku 1925 i 1926 zostały 3 orły morskie schwytane, względnie zabite, a prasa miejscowa z uznaniem to podkreślała. Dopiero późniejsza ustawa łowiecka, wznawiając całkowitą ochronę orłów morskich roztoczyła nadzór nad skrupulatnym jej przestrzeganiem i wprowadziła zakaz zakładania potrzasków, wykładania trucizny, a również kontrolę składów broni i zakładów wypychania ptaków.

W 1936 r., w ówczesnej regencji koszalińskiej, by-

ła tylko jedna para orłów lęgowych i jedną parę stwierdzono również w obecnym województwie olsztyńskim. W pozostałej części ówczesnego Pomorza szczecińskiego znajdowało się pewnych 16 par orłów lęgowych i 3 pary niepewne. Razem w całej ówczesnej prowincji Pomorza szczecińskiego (Pommern), łącznie z wyspą Rugią, znajdowało się 20 par orłów. Taka sama ilość orłów znajdowała się na pozostałym terytorium Rzeszy Niemieckiej.

W latach 1932 — 1936 było 47 pewnych lęgów, z których wyleciały 82 sztuki młodych orłów. Do tego doszło 10 lęgów, gdzie nie zdołano dokładnie ustalić ile młodych opuściło gniazda (po jednym, względnie po dwa). Na pewno więc w tych latach opuściło gniazda 92 orłów młodych.



Orzeł Wielik zestrzelony w Niemodlinie
fot. M. Bielewicz

Wszystkie gniazda były pobudowane w większych kompleksach leśnych, w starym, rzadkim lesie sosnowym. w pobliżu morza lub Zalewu Szczecińskiego, albo w pobliżu większych jezior. Największa odległość gniazda od brzegu morza lub większego jeziora wynosiła 10 km. Ważną rolę w umieszczaniu gniazda w bliskości większej wody odgrywa zdobywanie żywności i przenoszenie jej do gniazd w okresie wychowywania młodych. Na 19 gniazd stwierdzonych w 1936 r było:

14 w lesie sosnowym,
3 w lesie mieszanym (sosna, buk, dąb).
2 w lesie bukowo-dębowym.

Wysokość umieszczenia gniazda od ziemi wynosiła od 11 do 30 metrów (w koronach lub na wierzchołkach drzew). średnica gniazda od 1.50 do 2.00 m wysokość od 1.00 m do 1.50 m, zagłębienie (wnęka) od 0.75 m do 1.00 m. Zdarzają się wypadki, że orły budują swe gnazda na skale i ziemi. W roku 1876 Fresse opisał, że w pobliżu Arkony (wyspa Rugia) w rozszczepionej skale gnieździł się od lat orzeł. Wypadek gnieżdżenia się orła na ziemi opisuje Tenere (1881 r.). Znalazł on gnazdo orła, w którym znajdowało się jedno jajo, na łące w kępie szuwarów na wysokości pół metra od ziemi.

Jeszcze inny wypadek gnieżdżenia się orła na ziemi opisuje Holzfuss ze Szczecina, który znalazł gniazdo orła w lesie, w gęstych jeżynach. Holzfuss twierdził, że w tym czasie dość często spotykano gniazda orła zbudowane na ziemi.

Na pożywienie orła morskiego składa się: ptactwo wodne, ryby, padlina i drobna zwierzyna łowna. Bengt Berg, w swej książce „Ostatnie orły", przytacza rozmowę rybaka z leśniczym, z której wynika, że orzeł morski spośród ryb bierze najchętniej szczupaka, a bierze z takiej wysokości, że trudno uwierzyć, by mógł zobaczyć rybę w wodzie. Orzeł rzuca się jak piorun i chwyta upatrzoną ofiarę. Oczywiście rzucenie się na upatrzoną ofiarę w wodzie powoduje, że orzeł znika pod wodą, by po chwili wydobyć się ze szczupakiem, nieraz wagi 5 do 7 kg. Bywają wypadki, wprawdzie rzadkie, że ofiara, na którą orzeł się rzucił, jest tak ciężka i silna, że mimo dużej siły orła, nie może jej z wody wydobyć, jak również nie może wydobyć zapuszczonych w nią pazurów, a wtedy orzeł wraz ze swą ofiarą ginie.

Zalew Szczeciński, bogaty w liczne ptactwo wodne, szczególnie w kurki wodne i perkozy oraz w ryby. dawał zawsze dobre warunki żywienia orłów morskich, toteż w okolicy Zalewu Szczecińskiego zawsze najliczniej gnieździły się orły i tam przebywały i przebywają dotąd.

Na podstawie pytań i własnej obserwacji ustaliłem, że w roku 1948 latało nad Zalewem Szczecińskim w okresie lata 6 orłów. Czy wszystkie, widziane nad zalewem orły, gnieździły się na terenie polskim, przyległym do Zalewu — nie zdołałem ustalić.

W czerwcu 1948 r., w lasach przyległych do Zalewu Szczecińskiego, w granicach nadleśnictwa Trzebież, znalazłem w koronie około stuletniej sosny gniazdo orle dobrze utrzymane, jednak puste; również w powiecie wolińskim, w granicach leśniczówki Grodno i w lasach w pobliżu miejscowości Karsibor, znalazł łowczy powiatowy tegoż powiatu, kol. Piacko, gniazdo orłów, lecz nie ustalił czy wylęg w nich miał miejsce. W okolicach tych miejscowości widywał on pewną ilość orłów, szybujących w przestworzach lub polujących na kaczki na wybrzeżu Bałtyku i na jeziorze Jordan. Kol. Czesław Dmochowski ze Szczecina spotkał w lesie, w powiecie stargardzkim, w pobliżu miejscowości Wielgowo, dwa młode, odpoczywające orły (wrzesień 1948 r.).

Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę mógł Kolegom podać dość dokładną ilość orłów morskich, gnieżdżących się na terenie województwa szczecińskiego.

Mimo, że pary orłów (samica i samiec) wiernie trzymają się razem, to jednak są często wypadki, że w niektórych latach nie przystępują do lęgu.

Z młodych orłów morskich, które szczęśliwie się wychowały i wyleciały z gniazd, tylko bardzo mały procent pozostaje przy życiu. Przyczyny: gdy z końcem lata opuszczą gniazdo rodzinne i poduczą się latania i zdobywania żywności bez pomocy rodziców,

odlatują przeważnie na południe, w przeciwieństwie do orłów górskich, które rzadko kiedy opuszczają miejsce wylęgu. Brak doświadczenia, a szczególnie doświadczenia przy zetknięciu się z człowiekiem i techniką, stworzoną przez tegoż człowieka, powoduje, że większość młodych orłów ginie od broni palnej i od pułapek oraz trucizny lub też od linii wysokiego napięcia.

Takie same niebezpieczeństwa czyhają na nie w czasie drogi powrotnej. Orły, którym uda się szczęśliwie wrócić z wędrówki zimowej, również nie są wolne od niebezpieczeństw. Na marginesie tej sprawy dodaję, że w roku 1948. na małym odcinku województwa szczecińskiego, od Świnioujścia do Gryfina — zginęły 3 orły morskie: dwa zastrzelił zbyt nerwowy myśliwy, który nie sprawdził przyczyny trzasku w szuwarach przy Zalewie Szczecińskim i strzelił bez rozeznania, zabijając je. Jeden młody orzeł został znaleziony na szosie w okolicy Widuchowa, powiat Gryfina, przez kolegę, inżyniera Adama Niemca, łowczego tegoż powiatu, z lotem złamanym, najprawdopodobniej o przewód telefoniczny, w czasie nurkowania na upatrzoną zdobycz. W zasadzie, prócz człowieka, orły innych wrogów nie mają.

W Szwecji, gdzie orzeł jest znacznie liczniejszy niż u nas i gdzie ma lepsze warunki bytowania, niż u nas, jest od kilkunastu lat uznany jako żywy pomnik przyrody i troskliwie ochraniany.

Władze nasze, doceniając znaczenie orłów, wzięły je również w całoroczną ochronę, mocą rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 14 maja 1947 r.

Teraz trzeba, abyśmy wszyscy, którym ta sprawa leży na sercu, dołożyli sił i starań, aby rozporządzenie to nie pozostało martwą literą, i aby nasz piękny królewski ptak — żył wolny i bezpieczny śród naszych gór i lasów.

Pod koniec podam kilka danych z biologii orła morskiego.

Samica jest wzrostem większa od samca. Młode orły są zdolne do płodzenia w zasadzie w piątym roku życia. Młoda samica składa tylko jedno jaje, stara 2 — bardzo rzadko 3 jaja. Czas wysiadywania na jajach — 35 dni. Okres wykluwania się piskląt — od końca miesiąca kwietnia do początku czerwca. Wylot młodych orłów z gniazd — z końcem sierpnia. Upierzenie młodych orłów jest ciemno szare do czwartego, często piątego roku życia; z chwilą uzyskania zdolności płodzenia — jaśnieje a w wysokiej starości uzyskuje siwy połysk. Waga orła morskiego waha się od 3 6 do 6,25 kg, rozpiętość obu skrzydeł 2,39 m i więcej, długość pazurów do 0,40 m.

Wagę i rozpiętość skrzydeł podałem według Banzhoffa, na podstawie pomiarów 7 sztuk orłów, w tym 3 orłów złowionych, względnie zabitych przy Zalewie Szczecińskim.

Kończąc apeluję do wszystkich Kolegów o udzielanie mi informacji o miejscu przebywania orłów morskich, poza województwem szczecińskim, gnieżdżenia się, wylęgu młodych i sposobu bytowania — szczególnie w okresie zimowym.

Literatura:

W. Banzhoff: Natturdenkmäler aus Pommerns Vogel Welt.

K. Glasewald: Adlerhege.

Holz: Die Raubvögel Neupommern und der Zuseln Rügen, Usedom und Wol n.

Bengt - Berg: Die letzten Adler.

MACIEJ GABAŁA

ORŁÓW STRZELAĆ NIE WOLNO

Do pracowni preparatorskiej Muzeum Śląskiego w Bytomiu przysłano za pośrednictwem Muzeum w Opolu wspaniały okaz orła bielika (Haliaeetus albicilla L.). Ptak ten został ustrzelony dnia 13 XI 1948 r. przez pewnego myśliwego, w okolicach Niemodlina, nad rz. Nysą. Jest to stara samica, z wybielonym zupełnie ogonem, o rozpiętości skrzydeł 232 cm, długości ciała 95 cm i wadze 6,70 kg.

Jak wszystkim myśliwym wiadomo, na mocy ustawy łowieckiej orły posiadają ochronę w ciągu całego roku i jako ptaki u nas coraz rzadsze, powinny być otaczane specjalną opieką.

Wspomniany czyn, niegodny myśliwego, posiada tym większą wymowę, że stanowisko gnieżdżenia się bielika w lasach niemodlińskich było od dawna znane i ptaki te już za czasów niemieckich były tam troskliwie ochraniane.

Niech więc ta wzmianka będzie ostrzeżeniem dla innych, zapalonych myśliwych, przed popełnieniem równie karygodnego kroku!

Bytom, grudzień 1948 r.

Marian Bielewicz

SPROSTOWANIE

W numerze 10 Łowca Polskiego 1948 r. na stronie pierwszej ukazała się fotografia jelenia „kapitalny byk", podpisana: „Fot. Z. Kowalski". Fotografia ta nie została zrobiona przez mnie, natomiast 2 fotografie, na stronie 10 i 17 tegoż numeru, nie mają podpisu autora, a są to właśnie fotografie wykonane przeze mnie.

W numerze Łowca Polskiego, strona 5, wiersz 19 od góry (szpalta lewa), zamiast wyrazu „ze" użyty jest wyraz „za", co zmienia zasadniczo treść całego zdania.

Proszę uprzejmie o sprostowanie powyższych błędów drukarskich.

Z. Kowalski

Przypisek redakcji. Błędy są nie do uniknięcia, jeżeli zdjęcia nie są zaopatrzone w podpis autora i w nazwę treści.

Z ŻYCIA PZŁ W TERENIE

W powiecie międzyrzeckim (Ziemia Lubuska) przypadłym województwu poznańskiemu z Ziem Odzyskanych, powiatowa rada łowiecka ukonstytuowała się w dniu 20 stycznia 1946 roku.

W pierwszym roku działalności skupiła ona w szeregach członków PZŁ 107 myśliwych. Cyfra ta ulegała następnie stałym zmianom, wobec dużego ruchu ludności, charakterystycznego dla Ziem Odzyskanych. Na dzień 30 listopada 1948 rok ilość członków czynnych PZŁ wyraża się cyfrą 121, z których olbrzymia większość, to nowi myśliwi (członkowie nadzwyczajni), dla których upowszechnienie łowiectwa umożliwiło wstąpienie w szeregi wyznawców św. Huberta.

jące znaczenie dla łowiectwa, czego jednym z pozytywnych wyników było wyjednanie uchwały, zwalniającej od podatku psy myśliwskie, które powiatowa rada łowiecka uzna za odpowiadające celom hodowlanym, z uwagi na całkowity brak psów myśliwskich w powiecie.

Ścisła współpraca z wojskiem, reprezentowanym przez swego przedstawiciela w powiatowej radzie łowieckiej, oddała wielkie usługi na terenie walki z kłusownictwem. Podobnież ścisła współpraca z sądem, karzącym surowo przestępstwa kłusownicze, jak również z organami bezpieczeństwa, sprzyjała zwalczaniu tej plagi.



Z obchodu 25-lecia PZŁ w Katowicach

Już w lutym 1946 r. powstaje na terenie powiatu, w Pszczewie, kółko łowieckie, które rozwija działalność w kierunku praktycznego wychowywania myśliwych. dzierżawiąc tereny łowieckie, urządzając wzorowe polowania oraz przeprowadzając wstępne egzaminy z wiadomości łowieckich. Dalsze kółka powstają w Międzyrzeczu i w Trzcielu.

W. pierwszym okresie, w 1946 r., pewną trudność w rozwoju życia łowieckiego stanowił brak broni myśliwskiej, co jednak w roku 1947, dzięki pozytywnemu ustosunkowaniu się władz bezpieczeństwa do zabiegów powiatowej rady łowieckiej uległo zasadniczej zmianie. Podstawowy program prac powiatowej rady łowieckiej to organizowanie życia łowieckiego przez skupianie w szeregach PZŁ amatorów łowiectwa oraz walka z rozpanoszonym kłusownictwem wszelkimi dostępnymi środkami.

Z dniem 1 kwietnia 1946 r. rozplakatowane zostały na terenie całego powiatu ogłoszenia o zakazie kłusownictwa, ochronie zwierzyny i przepisach prawa łowieckiego, wydane przez powiatową radę łowiecką, w porozumieniu z pełnomocnikiem Rządu, a podające do publicznej wiadomości przepisy karne wraz z sankcją z tej dziedziny oraz wskazujące drogę do legalnego łowiectwa przez PZŁ. Ogłoszenie to zostało powtórzone w marcu 1948 r. z równoczesnym publicznym przyrzeczeniem nagrody pieniężnej za wykrycie kłusownictwa oraz odezwą do całego społeczeństwa o przyczynienie się do ochrony bogactwa społecznego, jakim jest nasza fauna. Dalszą propagandę w tym kierunku prowadzono poprzez szkoły, za pośrednictwem nauczycielstwa, z którym sprawę ochrony przyrody omówił przedstawiciel powiatowej rady łowieckiej na odprawie w inspektoracie szkolnym. Podobnie w powiatowej radzie narodowej referowane były przez przedstawiciela PZŁ sprawy, ma-

Uchwalono wreszcie wypłacanie nagród za wykrycie kłusownictwa oraz premii za odstrzał drapieżników i szkodników. W przedmiocie zakazu zabierania i puszczania w pole psów przez rolników, wyjednano odpowiednie zarządzenie starosty powiatowego, przesłane do zarządów gminnych.

W toku przygotowania jest sprawa egzaminów łowieckich na członków zwyczajnych i w tym przedmiocie każdy członek z osobna otrzyma instrukcje i wezwanie z powiatowej rady łowieckiej.

Podjęto uchwałę stworzenia na terenie powiatu rezerwatu, przez wydzierżawienie kosztem powiatowej rady łowieckiej pełnej enklawy leśnej Białe Piaski, położonej wśród największych kompleksów leśnych, będących siedzibą jeleni i innej grubej zwierzyny, a to w celu zapobieżenia wybiciu tej zwierzyny, wychodzącej ze wszystkich stron na pola.

Pewną trudność w zagospodarowaniu powiatu przez PZŁ stanowi zbyt mały nacisk władz administracyjnych na zorganizowanie spółek łowieckich, co nie pozwala członkom PZŁ na opanowanie terenów. Nadto akcja wydawania kart łowieckich, tego najlepszego sprawdzianu uprawnień do polowania, rozpoczęta została dopiero jesienią 1948 r.

Na przestrzeni blisko trzech lat działalności powiatowej rady łowieckiej w Międzyrzeczu, należy stwierdzić, że kłusownictwo z bronią w ręku należy już raczej do rzadkości, niestety, jednak wnykarstwo, ten najgroźniejszy sposób kłusownictwa, występuje wciąż w znacznym nasileniu.

Zwierzostan powiatu to dzik, dość licznie zamieszkujący lasy, jeleń w kilku rewirach, sarna będąca niestety, najłatwiejszą ofiarą kłusownika i wykazująca stały ubytek. Z drobnej zwierzyny dość licznie występują kaczki (krzyżówki i cyraneczki, rzadziej cyranki), słabo kuropatwy, niszczone przez nadmierną

ilość drapieżników, królik i zając w niewielkich ilościach, słonka, żuraw, lis, borsuk i wydra.

Płowa zwierzyna będąca we wspaniałym rozwoju przed 1945 rokiem, uległa ogromnemu wyniszczeniu przez kłusownictwo w pierwszym okresie po wojnie, dlatego też dzisiaj nie jest przesadą twierdzenie, że są to tylko niedobitki, choć może nawet wyjątkowo w niektórych rewirach liczniejsze. Nadmiar dzików, na który najwięcej uskarżali się rolnicy, został w ciągu bieżącego lata (1948) zredukowany w poważnym stopniu w niektórych częściach powiatu — przez pomór.

Międzyrzecz, dnia 30 listopada 1948 r.

Jan Dobrzyński
łowczy powiatowy

KRWAWA ROZPRAWA Z DZIKIEM

Powiat sanocki jest powiatem górskim, obfitującym w lasy, w których jednak jest brak zwierzyny płowej, nie rzadkiej tu przed wojną, a wybitej ostatnio przez bandy UPA i kłusowników. Jedynym zwierzem, który nie uległ wytępieniu, a raczej stan jego powiększył się, są dziki, które wyrządzały poważne szkody w plonach rolnych tutejszego powiatu.



Odyniec z Sanockiego

Starostwo, chcąc zapobiec dużym szkodom, równającym się w niektórych wypadkach — klęsce, zwróciło się do Towarzystwa Łowieckiego w Sanoku, ażeby pomagało w uchronieniu plonów od całkowitego wyniszczenia. W tym celu urządzono szereg obław, zobowiązując myśliwych do możliwie jak najliczniejszego wzięcia udziału w obławach i do odstrzelania znacznej ilości dzików. Obławy te nie dały spodziewanych wyników, jednak nie z winy myśliwych, a z winy poszkodowanych rolników, którzy, mimo zarządzenia starostwa, nie stawili się do naganki.

Na kilkunastu polowaniach indywidualnych, dzięki temu, że niektórzy myśliwi posiadali własne psy, a inni ochotniczo poszli na nagankę, w okresie od 1 czerwca do 15 października zabito z górą 30 sztuk dzików drobnych, średnich oraz 4 duże odyńce.

Najwięcej wrażeń, jakich doznaliśmy, stanowiły polowania, na których ubito właśnie te 4 odyńce. Pierwszy odyniec i 2 średnie dziki padły dnia 20 czerwca w rewirze Chmielina, nadleśnictwa Olchowce. Odyniec atakowany przez psy rozprawił się z napastnikami, rozdzierając szablami dwa psy. Jeden pies zginął po kilku dniach, drugi wylizał się i nadal towarzyszył myśliwym, mszcząc się na innych dzikach za zadane mu rany i rozdarcie towarzysza. Odyniec ten trafiony dwoma strzałami na komorę kulą 93 X 72, po pierwszej kuli szedł ponad 200 metrów, po drugiej jeszcze ponad 50 metrów, zanim padł.

Drugi odyniec, ubity dnia 29 sierpnia 1948 r. w rewirze Trepcza, nadleśnictwa Olchowce, miał wagi 186 kg. Raniony i osadzony przez psy na miejscu, na swoją ofiarę wybrał myśliwych. Spokojne zachowanie się dzika ośmieliło myśliwych do podchodzenia bez zachowania należytej ostrożności. Przypuszczali bowiem, że dzik leży i z miejsca ruszyć się nie może. W chwili zbliżenia się myśliwego na 4 — 5 kroków dzik momentalnie zaatakował myśliwego, rozdzierając mu pośladek (szczęście, że nie brzuch) na 20 cm długości, 3 cm głęboko, aż do kości, urywając mu jedno ścięgno, i wepchnął w krzaki. W chwili zbliżenia się gajowego został on błyskawicznie zaatakowany przez odyńca i mimo oddania dwu strzałów, (jeden kulą w gwizd, drugi loftkami w nogi) został przez odyńca przewrócony i skaleczony podobnie jak pierwszy myśliwy, tylko rana ta była powierzchowna. Garderobę obu myśliwych potargał na strzępy. Dopiero trzeciemu myśliwemu udało się celnym strzałem zakończyć tę leśną krwawą zabawę.

Rannymi zaopiekował się, biorący udział w polowaniu, łowczy powiatowy, dr Stanisław Domański, udzielając im pierwszej pomocy lekarskiej; odyńcem zajęła się reszta myśliwych. Nieostrożny myśliwy odpokutował swoją śmiałość 14-dniowym aresztem na łóżku szpitalnym.

Trzeci odyniec, ubity w rewirze Wujskie, nadleśnictwa Olchowce, dnia 22 września, mimo otrzymania ran po 7 kulach (brenekach) również atakował myśliwych. Szczęściem działo się to na grubym lesie i widoczność była dobra. Gajowy musiał ratować się ucieczką na buk. Dopiero myśliwy, stojący najbliżej, uspokoił na zawsze ósmą kulą rozjuszonego odyńca, ważącego 223 kg.

Czwarty odyniec padł dnia 3 października w rewirze Gruszka, nadleśnictwa Sanok. Wynosił się szybko z miotu, daleko przed naganką i psami. Strzelony na kulawy sztych a drugi raz na komorę, wspiął się oszołomiony na tylnych nogach na jodłę. Stojąc tak chwilę zsunął się już martwy na ziemię. Ten ostatni odyniec, największy w wadze, bo 281 kg, sprawił niemało kłopotu, zanim znalazł się przy drodze a następnie w aucie.



Wilk w Sanockiem

Poza spotkaniami z dzikami mieli nasi koledzy spotkania z wilkami. W dniu 10 IX 1948 r. w nadleśnictwie Przymorskim podczas pędzenia miotu, w którym spodziewano się dzików (wysoka drągowina z kąpieliskami dzików), usiłował wynieść się przed naganką płowy rozbójnik. Celne dwa strzały kolegi Fedyczyńskiego zakończyły jego rozbójniczy żywot.

Drugim szczęśliwcem był kolega Bilanow, leśniczy państwowy w nadleśnictwie Rymanów, strzelając w tydzień później, w czasie pełnienia obowiązków służbowych, dużą wilczycę.

Z uwagi na ciągle nadchodzące wiadomości z różnych stron powiatu o pojawianiu się wilków, mamy nadzieję, że jeszcze nie jeden z nas będzie miał z nimi spotkanie.

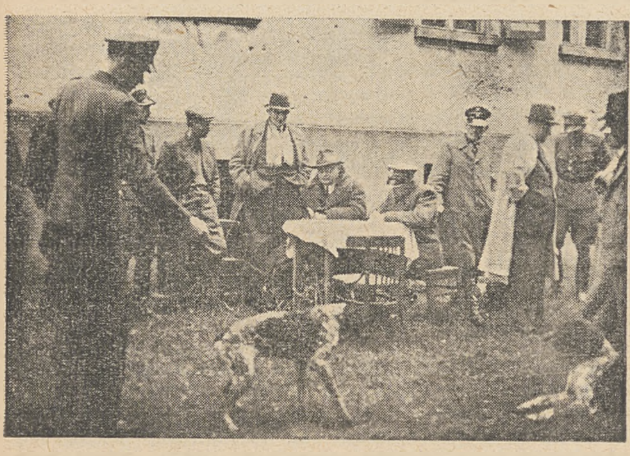
Sekretarz
Powiatowej Rady Łowieckiej
w Sanoku.

Pokaz wyżłów dowodnych »kontynentalnych« Sekcji Kynologicznej w Człuchowie

Z inicjatywy łowczego powiatowego, inż. Zygmunta Tomaszewskiego z Rzecznicy, zorganizowała powiatowa rada łowiecka dnia 26 IX 1948 r. w Człuchowie pokaz wyżłów dowodnych „kontynentalnych".

Komisji kwalifikacyjnej w składzie: Stefan Orlikowski, Józef Misiak, Egon Raszke (leśniczowie) i p. Zimny — przewodniczył dr Jan Łukowicz z Chojnic. W pokazie wzięli udział myśliwi z całego powiatu oraz z sąsiedniego, chojnickiego.

Celem tego pokazu była selekcja materiału hodowlanego oraz skontaktowanie hodowców z myśliwymi. Ci ostatni, zamówili dla siebie najbliższe szczenięta.



Kora przed sędziami *fot. Z. Tomaszewski*

Niestety, nie wszyscy myśliwi przybyli, głównie z powodu trudności komunikacyjnych (autobus w niedzielę nie kursuje). A szkoda, bo na podstawie nieoficjalnej statystyki jest w naszym powiecie 11 wyżłów, a zgłoszono zaledwie trzy.

Na kilku przykładach obecni mogli praktycznie poznać charakterystyczne cechy rasowe.

Komisja zwracała specjalną uwagę na czystość rasy oraz na staranny i odpowiedni dobór rodziców, aby ich potomstwo było pełnowartościowe dla coraz liczniejszej, zorganizowanej w powiecie człuchowskim, braci myśliwskiej.

Knieje nasze, pod troskliwą opieką leśników Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Bałtyckiego, stosunkowo szybko zapełniają się najrozmaitszą zwierzyną. Dobry wyżeł, ten najwierniejszy przyjaciel myśliwego, jest więc tu konieczny, z czego zdają sobie sprawę myśliwi, zwłaszcza ci, którzy jeszcze wyżłów nie mają.

Pokaz ten spełnił swoje zadanie.

Przedstawiono:

A. Szorstkowłose:

1) „Cella v. Wasserfall, zapisana Deutsche Drathaar Gebrauchshund (Zuchtbuchtamt), suka, ur. 10. VII. 1943 r., ojciec: „Arco" v. Wasserfall 13 644, matka: „Amsel" v. Egerland D D. brązowa, biało-szare łaty, brązowo nakrapiane, szorstkowłosa 63 cm.

Hodowca: Ludwig Buchta, Miastko (Rummelsburg) Pomorze Zachodnie. Właściciel: Augustyn Piechowski Miastko, ulica Królowej Jadwigi 1., ogólna ocena bardzo dobra (budowa dobra, mogłaby mieć nieco głębszą pierś).

B. Krótkowłose:

1) „Kora", suka, 1-roczna, rodzice — nieznani, brązowa nakrapiana, brązowe łaty, krótkowłosa, 58 cm.

Właściciel: dr Jan Łukowicz, Chojnice. Ogólna ocena dostateczna (budowa nieco słaba, luźne przednie łopatki).

C. Długowłose:

1) „Treff", pies urodzony 26. VI. 1947 r. rodzice nieznani, czarny setter szkocki, 63 cm.

Właściciel: nadleśniczy Marian Borczowski, nadleśnictwo Przechlewo, ocena bardzo dobra (budowa dobra).

25-lecie P Z L w Kielcach

Z okazji 25-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, kielecka wojewódzka rada łowiecka i powiatowa rada łowiecka wyświetlały w dniu 22 XI 1948 r. w kinie „Bałtyk" film pod tytułem: „Ptasia wyspa" i „Polowanie zimowe w Białowieży".

W porozumieniu z zarządem kina film mógł być wyświetlony w porze południowej w 2 seansach

Pierwszy seans wyświetlono bezpłatnie, wyłącznie dla młodzieży szkół powszechnych za zgodą ob. inspektora. Na wyświetlaniu było obecnych około 1.000 dzieci. Drugi seans przeznaczono dla miłośników przyrody i członków PZŁ. Wstęp za dobrowolną opłatą. Obecnych około 600 osób.

Wyświetlenie filmu zostało poprzedzone zagajeniem łowczego powiatowego, kol. Edwarda Kościeleckiego, który w zwięzłych słowach określił organizację PZŁ, ideologię i cele w rozbudowie naszego Państwa.

Następnie kolega dr Hipolit Modrzejewski omówił znaczenie zwierzostanu w kraju i korzyści, wypływa-

jące z tego dla ogólnej gospodarki narodowej, apelując do starszych i młodzieży o stosowanie opieki i ochrony zwierzyny łownej, szczególnie w okresie lęgów.

Zainteresowanie filmem wśród starszych i młodzieży było bardzo duże, wobec zaś licznych zapytań czy film ten będzie jeszcze kiedyś wyświetlany, prosimy, by film ten mógł być wyświetlany jako dodatek przy seansach wieczorowych.

Na zakończenie podajemy, że z dobrowolnych opłat zebrano kwotę, która w zupełności pokryła wszystkie poniesione koszty, jak opłata lokalu, światła i obsługi, a pozostałe 539 zł przekazaliśmy na budowę domu myśliwskiego w Warszawie.

Obchód 25-lecia P Z L w Rzeszowie

Towarzystwo Myśliwych w Rzeszowie uczciło 25-letni jubileusz istnienia Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 3 listopada 1948 r. uroczystym nabożeństwem o godzinie 6 rano, na którym obecni byli członkowie wojewódzkiej rady Polskiego Związku Łowieckiego i Towarzystwa Myśliwych w Rzeszowie. Następnie wyjechali członkowie Towarzystwa Myśliwskiego na kniejowe polowanie do nadleśnictwa głogowskiego a leśnictwa Annopol, gdzie w rezultacie zastrzelono 1 lisa i 10 zajęcy. Wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie, gdzie przy herbatce, wygłoszonym referacie i pogawędce, spędzono mile czas do 24 godziny.

Uroczystości wigilijne w T-wie Łowieckim »Ryś« w Pruszkowie

W dniu 2 grudnia 1948 r. w lokalu T-wa Łowieckiego „Ryś“ w Pruszkowie odbyła się uroczysta Wieczerza Wigilijna zorganizowana staraniem Zarządu T-wa. W uroczystości wzięło udział trzydziestu myśliwych. Miły, braterski nastrój wytworzony serdecznymi przemówieniami Prezesa prof. B. Zielińskiego i innych kolegów myśliwych przed i po dzieleniu się opłatkiem, przyczyniły się do zacieśnienia więzów przyjaźni i koleżeństwa.

Opłatek Wigilijny zlikwidował wszelkie spory łowieckie zaistniałe w ciągu roku, nieporozumienia o jakość strzelby, psa, czy inne pretensje myśliwskie, sięgające swą tradycją mickiewiczowskich waśni Asesora i Rejenta.

Stół wigilijny stał się źródłem nowych pomysłów i decyzji zmierzających do podniesienia poziomu organizacyjnego T-wa oraz etyki łowieckiej członków. Jeden z kolegów zaproponował i podjął się prowadzić kronikę łowiecką T-wa, postanowiono w nadchodzącym 1949 r. większy nacisk położyć na hodowlę zwierzyny na dzierżawionych przez T-wo terenach.

W trakcie wieczerzy Łowczy Powiatowy kol. M. Meljon zaapelował do najserdeczniejszych uczuć zebranych o złożenie ofiary na rzecz RTPD z przeznaczeniem zebranej sumy na „Gwiazdkę“ dla najbiedniejszej dziatwy z terenu m. Pruszkowa. Apel nie pozostał bez efektu i w ciągu kilku minut zebrano pokaźną sumę 8150 zł, którą skarbnik T-wa w następnym dniu przekazał Zarządowi RTPD w Pruszkowie.

Całość uroczystej wieczerzy wypełniły odśpiewane przy stole kolędy i wspomnienia minionych polowań i przygód myśliwskich.

Ś. p. Dr LUDWIK ROEHR

W Krasnem pow. ciechanowskiego, na polowaniu Koła Łowieckiego Pracowników Spółdzielczych zmarł nagle na udar sercowy śp. Ludwik Roehr, dr praw, adwokat, pracownik CSS „Społem“, długoletni myśliwy i członek Polskiego Związku Łowieckiego.

Zmarły urodził się w Podłężu pod Krakowem, w Krakowie ukończył gimnazjum i wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem był sędzią w Małopolsce Wschodniej a następnie adwokatem we Lwowie. W okresie odzyskania niepodległości po pierwszej wojnie światowej śp. dr Roehr staje w służbie Ojczyzny zdobywając odznaczenia bojowe. Po odzyskaniu niepodległości zmarły osiada w Warszawie, gdzie mieszka aż do ostatniej chwili.

Syn powstańca 1863 roku, dr Roehr wysoko nosił sztandar swej godności Polaka. Demokrata z przekonań, członek PPS, pomagał w potrzebie ludziom pracy, a specjalnie był opiekunem kształcącej się niezamożnej młodzieży. Jego opieka nad rodakami i Jego ostentacyjna wprost polskość i niepolskie brzmienie nazwiska stały się źródłem szykan ze strony okupanta; droga przez Gestapo i Pawiak była też udziałem śp. dr Roehra.

Pod Hubertowy sztandar zaciągnął się czynnie śp. dr Roehr już od 14 roku życia, a myślistwo było Jego największą pasją i radością życia. Czerpiąc hojnie z bogactw fauny i piękna przyrody Małopolski Wschodniej, Zmarły dawał też w zamian przyrodzie swoją opiekę, karząc jako sędzia przykładnie kłusowników oraz będąc jednym z pierwszych członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, późniejszej części składowej obecnego naszego Związku.

Złoty jubileusz działalności myśliwskiej i łowieckiej miał już Zmarły poza sobą a jeszcze był zawsze pełen energii i zapału optymizmu i dobrego humoru, a z każdego wyjazdu na polowanie cieszył się prawie tak, jak ongiś gdy miał lat 14.

Toteż i śmierć spotkała Go myśliwska.

Zmarł na posterunku, dosłownie z bronią w ręku, składając się do strzału.

Nad stygnącymi zwłokami Kolegi, na wezwanie łowczego, stanęliśmy w kornym dwuszeregu myśliwi i naganka o odkrywszy głowy, jednominutową chwilą milczenia żegnaliśmy Współtowarzysza łowów.

Niech szum górskich jodeł i mazowieckich sosen, niech wiew z kniej i zielonych pól kołysze Cię, Drogi Panie Doktorze, do snu wiecznego.

Jerzy Oświecimski

Z literatury ŁOWIECKIEJ

I.

„Pies" — organ Związku Kynologicznego w Polsce, nr 1 — grudzień 1948 r. Warszawa, str. 28, cena 100 zł.

Ukazał się pierwszy zeszyt pisma, poświęconego hodowli i wychowaniu psa myśliwskiego i rasowego. Witamy serdecznie nowego kolegę na polu wydawniczym, którego zjawienie się wypełnia lukę, odczuwaną dotkliwie przez myśliwych, dla których pies był nieodzownym towarzyszem łowów i przyjacielem w domu. Główna zasługa w ukazaniu się pisma przypada na koll. Zdzisława Klawego, przewodniczącego Komisji Głównej Kynologicznej, którego zabiegom i pracy zawdzięcza swe powstanie Związek Kynologiczny w Polsce, a w dalszym etapie pracy — nowy periodyk „Pies".

Pierwszy zeszyt przedstawia się bardzo dobrze. Na treść jego składa się, obok „Słowa wstępnego", tłumaczącego dlaczego spomiędzy wszystkich zwierząt domowych pies zasłużył na miano przyjaciela człowieka, krótka historia kynologii w Polsce, uwagi dr. E. Szyfelbeina o chorobach psów, monograficzny artykuł inż. Z. Biernackiego „Szkocki terier", opisanie przygody na granicy, której bohaterem był pies przemytnika, fachowo ujęte studium kol. A. Śliwińskiego „W sprawie psa myśliwskiego" z charakterystyką roli psa w łowiectwie współczesnym, nastrojowy wiersz Juliana Tuwima pt. „Odezwa do psów", następnie obszerna „Kronika krajowa" z wynikami wystawy psów we Wrocławiu i komunikatami Związku Kynologicznego w Polsce, wreszcie bardzo urozmaicona „Kronika zagraniczna".

Pismo jest ładnie ilustrowane i pozostaje pod kierownictwem redaktora Rudolfa Kryspina i Komitetu Redakcyjnego w składzie: inż. Z. Biernacki, Z. Klawe, A. Śliwiński, dr. E Szyfelbein i Z. Tarnowski. Sekretariat Redakcji i Administracji mieści się w Warszawie (Nowy Świat 35), prenumerata roczna wynosi 400 zł.

II.

„Łowiectwo na Pomorzu" — jednodniówka wydana nakładem Wojewódzkich Rad Łowieckich w Olsztynie, Sopocie, Szczecinie i Toruniu; Toruń 1948 r., str. 151+6.

Dla uczczenia 25-letniej rocznicy powstania Polskiego Związku Łowieckiego zjednoczone rady łowieckie Wielkiego Pomorza podjęły trud zobrazowania łowiectwa na Pomorzu. Ta najdalej wysunięta na północ dzielnica polska, posiadająca nie tylko klimat najsurowszy, ale i najbezwzględniejszych sąsiadów, zżyła się od tysiąca lat z atmosferą walki i oporu, a oba te czynniki wydały ludzi czynu i hartu, którzy w żadnych okolicznościach nie opuszczą rąk. Ta właśnie cecha sprawiła, że Pomorze pierwsze podjęło dziś pracę, obrazującą stan łowiectwa w swojej dzielnicy, a podjęła ją nie tylko dla celów opisowych czy statystycznych, ale jako punkt wyjścia dla pracy nad odbudową zwierzostanu łownego, jednego z najwspanialszych na obszarach Polski, a okrutnie doświadczonego przez wojnę.

Że podjęcie takiej pracy nie jest tylko pobożnym życzeniem, ale jest już i dziś realizowane w miarę możliwości, świadczy o tym liczba członków Polskiego Związku Łowieckiego, sięgająca w czterech wymienionych województwach liczby 7.125 osób, zorganizowanych w 66 placówkach powiatowych, jak również ocena ich pracy efektywnej, wyrażona w odznaczeniach łowieckich, przyznanych pracownikom na Pomorzu (od 1932 r.) w ilości: 5 złomów, 37 medali złotych, 62 medali srebrnych i 62 medali brązowych.

Treść jednodniówki przedstawia się bardzo bogato. Składają się na nią 43 tytuły prac 20 autorów i obejmują niemal wszystkie zagadnienia, związane z łowieckim charakterem Pomorza. A więc historię łowiectwa, szkic fizjograficzny terenu, rozmieszczenie zwierzyny, monograficzne opisy łosi, jeleni, danieli, sarn, dzików, rysi, bobrów, głuszców, łabędzi, dzikich gęsi na Pomorzu, zestawienie ilości odstrzelonej zwierzyny, stan hodowli psów, rozwój ustawodawstwa łowieckiego, pięć sylwetek z „Pomorskiej galerii zasłużonych" (koledzy: H. Knotke, W. Korsak, H. Górski, J. Łukowicz i W. Zabiełło), wreszcie kilka utworów beletrystycznych.

Niemniej piękną jest szata zewnętrzna „Łowiectwa na Pomorzu". Batutę artystyczną objęła w tym dziele p. B. Łangowska, której uzdolnienie graficzne zasługuje na najwyższą pochwałę. Poza tym zdobią je piękne, jak zawsze, sylwety W. Korsaka oraz znakomite zdjęcia krajobrazowe i z życia ptaków — W. Puchalskiego.

Piśmiennictwo łowieckie polskie wzbogaciło się o nową, piękną pozycję.

J. Gieysztor

Kalendarzyk myśliwski

Stosownie do rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 27 grudnia 1927 r., uzupełnionego rozporządzeniem Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 12 maja 1948 r., (Dz. U. R. P. Nr 28) dozwolone jest polowanie na następujące zwierzęta łowne (znak +):

	w styczniu	w lutym
dziki	+	+
lisy	+	+
wilki	+	+
zające	do 15/I	—
króliki	+	+
wiewiórki	+	+
kuny kamionki	+	+
kuny leśne (tumaki)	+	+
tchórze, łasice, gronostaje	+	+
wydry	+	+
bażanty koguty (w województwach: łódzkim, szczecińskim, dąbrowsko-śląskim, poznańskim i wrocławskim)	+	—
jarząbki (z wyjątkiem województwa gdańskiego)	+	—
dzikie kaczory	+	+
jastrzębie gołębiarze	+	+
krogulce	+	+
wrony siwe i sroki	+	+

Ponadto obowiązują ograniczenia, wprowadzane przez właściwe władze wojewódzkie.

Uwaga! Z powodu wyjazdu do miasta sprzedam pięknego psa **pointer'a**, nagrodzonego na wystawie we Wrocławiu **złotym medalem.** Warunki do omówienia listownie. Misiewicz, Ciasna, pow. Lubliniec.

Redaktor — prof. J. Gieysztor   Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29
Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Nr 1697   Z. G. P. W. Nr 1   B-65877

Do czytelników »Łowca Polskiego«

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za 1949 r., otrzymują organ Związku, miesięcznik „Łowiec Polski", bez żadnej dcpłaty.

Aby jednak pismo to doszło ich rąk w porę i w komplecie, powinni oni poddać się ściśle rygorom, ustalonym przez władze centralne Związku:

1. Składka członkowska, stanowiąca dla wszystkich kategoryj myśliwych 1200 zł. (słuchacze wyższych uczelni mogą uzyskać 50% zniżki w formie dotacji Wojewódzkiej Komisji Młodzieżowej), powinna być uiszczona **do końca marca 1949 r.**, pod rygorem zawieszenia w prawach członka do końca roku. Nowowstępujący członkowie otrzymują zeszyty pisma od daty wstąpienia.
2. Składkę członkowską należy wpłacać bądź bezpośrednio do kasy odnośnej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, bądź też na jej konto w PKO.
3. **Wykaz nazwisk członków**, którzy składkę wpłacili, **wraz z ich dokładnymi adresami**, Wojewódzka Rada Łowiecka przesyła Administracji „Łowca Polskiego" możliwie rychło, nie rzadziej, niż raz na miesiąc, przekazując równocześnie należną część składki na wydawnictwo organu Związku (450 zł.).
4. **O zmianie adresu** członkowie obowiązani są powiadamiać Wojewódzką Radę Łowiecką, wpłacając na pokrycie związanych z tem kosztów po 50 zł.

REDAKCJA



CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 20.000 zł., za ¾ strony — 15.000 zł., za ½ strony — 12.000 zł., za ¼ strony—8.000 zł., za $^1/_8$ strony — 5.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem — po 20 zł. za wyraz, grubszym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Administracji pisma.

GRZYBA DOMOWEGO ZWALCZANIE

Bezpłatne porady. Analizy próbek drewna. Ekspertyzy grzyboznawcze budynków. Środki grzybobójczo-impregnacyjne:

KREODINA, FUNGOL, FLUODIN, FUNGOMUR, KREODINA B.

do impregnacji podkładów, słupów, ogrodzeń i konserwacji słupów w terenie

»FUNGUS«

ZWALCZANIE GRZYBÓW-SZKODNIKÓW

sp. z o. o.

Warszawa, ulica Nowogrodzka 49 (dom Roma)

BIURO POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Warszawa, Nowy-Świat 35, telefon 8-25-29

zawiadamia, iż posiada jeszcze na **składzie niewielkie ilości** egzemplarzy następujących wydawnictw:

BELETRYSTYKA ŁOWIECKA:

Zbigniew Kowalski »Dziennik Myśliwski« cena Zł **500.–**

KSIĄŻKI ŁOWIECKIE FACHOWE:

Prof. Józef Gieysztor Podstawy łowiectwa« **150.–**

Mieczysław Mniszek-Tchorznicki »Oologia Ptaków Łownych« **120.–**

WYDAWNICTWA RÓŻNE:

Kalendarz Myśliwski na rok **1948** **300.–**

Statut P Z Ł **25.–**

Zamówienia prosimy kierować pod adresem jak wyżej

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym

Komunikat w sprawie »Jednodniówki«

Zapowiedziana z okazji 25-lecia Polskiego Związku Łowieckiego „Jednodniówka" wyszła już z druku. Obejmue ona 160 stron druku w dwubarwnej okładce formatu „Łowca Polskiego", 34 artykuły wybitnych autorów myśliwych z zagadnień łowieckich regionu Wielkiego Pomorza, streszczenie w języku francuskim oraz 74 ilustracje i mapy rozmieszczenia zwierzyny łownej.

Z uwagi na wysoki poziom fachowy i literacki artykułów, jak również piękną szatę graficzną. „Jednodniówka" spotka się niewątpliwie z dużym zainteresowaniem Kolegów myśliwych, wzbogaci bibliotekę myśliwską i przyczyni się w dużym stopniu do zaznajomienia szerokiego ogółu z bogactwem łowieckim, reprezentowanym na ziemiach Zjednoczonego Pomorza.

Cena wynosi 300 zł. Zamówienia prosimy kierować pod adresem Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu, ul. Mickiewicza 9, zaś wpłaty dokonywać na konto czekowe w P.K.O. Poznań, Nr V-4408 (właściciel konta: Polski Związek Łowiecki Pomorska Rada Wojewódzka w Toruniu) z odpowiednią adnotacją na odwrocie blankietu nadawczego.